AS



Nr. 27

5 LIPCA 1936 ROKU
CENA 40 GROSZY

MATINATA...

Jail Sheridan, gwiazd
amerykańskiego filmu

NASZ KONKURS
na najnieprawdopodobniejsze głupstwo

Nasz „Konkurs na najnieprawdopodobniejsze głupstwo" miał się zakończyć w dniu 1 lipca. Ze względu jednak na duży napływ zgłoszeń termin zamknięcia został przesunięty na dzień 15 lipca b. r.

Praktyczny chemik.

Pewien profesor uniwersytetu, korzystając z wolnej godziny pomiędzy wykładami, udał się do swego gabinetu, celem popracowania nad rozpoczętemi doświadczeniami z dziedziny chemji. Ponieważ w pokoju było bardzo zimno, — zapalił własnoręcznie w piecyku i oddał się pracy. Gdy nadeszła pora wykładu, profesor zauważył, że ma obie ręce silnie powalane węglem i zakłopotał się bardzo, gdyż nie chciał iść tak zabrudzony na salę a w pracowni nie miał ani kropli wody, aby się umyć. Poradził sobie jednak po chwili namysłu inaczej. — Ponieważ posiadał pod ręką wielki piec do topienia metali, wytwarzający równocześnie ciśnienie kilku tysięcy atmosfer, napełnił go łomem żelaznym i następnie płynnem żelazem, pod wysokiem ciśnieniem oblał obie ręce, zyskując oprócz śnieżno białej skóry, jeszcze kilka garści niezwykle pięknych djamentów, skrystalizowanych z węglowego pyłu. Profesor na najbliższym wykładzie opublikował swój praktyczny wynalazek, łatwego wzbogacenia się.

„Aniela".

Ballada sentymentalna.

Pewien młody Hans, pionier z pod rasistowskiego sztandaru postanowił założyć własną, wzorową rodzinę. Po długich, skrupulatnych poszukiwaniach znalazł stosowną kandydatkę na żonę w okazowo-rudej jak i on Bercie, zaopatrzonej plikiem metryk do setnego pokolenia. Fakt ten zdopingował jego pedanterję w przestrzeganiu hasła rasowej samowystarczalności. Od tej chwili nie przyjął już pomocy rąk, które mu mogły ułatwić życie, jeśli wątpił w 100-procentową czystość ich rasy.

Wszystko więc musiał robić sam. Bo wszystko chciał mieć naj-naj... lepsze i najczystsze. W odziedziczonym po ojcu lesie zaczął wznosić swą wymarzoną fermę czystej rasy. Ścinał więc drzewa, obrabiał je i budował.

Hans był duży, ale dom miał być jeszcze większy — praca była mozolna, szła zwolna, a narzeczona była niecierpliwa. Dla zabicia czasu dał jej do czytania książkę: Życie zaczyna się jutro". I budował dalej z zapałem, pocił się i rudział jeszcze bardziej na słońcu. A Berta zmieniała się w coraz grubszą Bertę i niecierpliwiła się coraz bardziej. Uspokoił ją na dłuższy czas nowym tytułem książki: „Życie zaczyna się po czterdziestce". I ciął dalej drzewo, ciosał, mierzył, rznął — budował. Ale Hans był coraz słabszy, drzewa coraz cięższe, a Berta coraz pełniejsza instynktów macierzyńskich i marzeń o ultrarasowym dziedzicu ich krwi i ambicyj.

Wreszcie gdy oboje mieli już srebro we włosach, Hans powiódł Bertę do ołtarza. Byli u mety. W miejscu, gdzie dawniej był las, a nie było domu, powstał dom, a położył się las, całkiem jak Hans i Berta w pierwszą własną noc w własnym domu. Przez okno sypialni patrzało smutnie ostatnie ostałe, smukłe drzewo, które z powodu swej bliskości stało się tematem ich pierwszej małżeńskiej rozmowy. Zmęczony długą budową Hans, na krótko przed zaśnięciem zwierzył się Bercie, że z tego ostatniego drzewka za oknem zrobić musi jeszcze piękną kołyskę dla projektowanego dziedzica krwi i ambicyj cierpliwych rodziców. A propos cierpliwości starał się pocieszyć żonę przypowiastką o wiekowym turczynie Zaro-Adze, który to w setnym roku życia miał jeszcze potomków.

I padło nazajutrz ostatnie drzewo dziedzicznego lasu i w rękach Hansa zmieniło się wkrótce w wspaniałą kołyskę.

Radosna Berta i dumny Hans siłą swej twórczej wyobraźni dojrzeli w tej kołysce małą, krzykliwą, rudą główkę. Zdawało im się, że już kołyszą swoje rasowe szczęście.

A w rzeczywistości było zupełnie inaczej, pilny bowiem Hans nie spostrzegł się, że ścięte przez niego drzewo było jego własnem drzewem genealogicznem.

„Gustaw".

Mistrz Pędzelek.

Malarz Pędzelek był rzeczywiście mistrzem w swoim zawodzie. Wiernie odtwarzał naturę żywą i martwą i to wprost do złudzenia tak, że nieraz nie można było odróżnić przedmiotów namalowanych od prawdziwych.

Gdy na ścianie wymalował krowę, służąca pana Pędzelka codziennie doiła po kilkanaście litrów mleka i aż po tygodniu zorjentowała się, że jest to tylko rysunek łudząco podobny do krowy.

Ofiarą padł również pies pana Pędzelka. Skoro pies zobaczył nęcąco wymalowaną przez swego pana szynkę na starej wierzbie, zaczął ją obgryzać i dopiero gdy przegryzł drzewo do połowy spostrzegł swoją omyłkę i przekonał się, że został haniebnie oszukany.

Wreszcie pan Pędzelek pomalował drewniane kule na kolor jaj. Jaja takie podsadzi kwoce, która wkrótce wyprowadziła gromadę kurcząt, i te, o dziwo, okazały się nadzwyczaj silne i zdrowe.

Wkońcu genjusz pana Pędzelka oddał przysługę staremu kotowi, który był prawie, że ślepy i nie potrafił już złowić żadnej myszy. Ponieważ pan Pędzelek stwierdził, że wzrok kota wrażliwy jest jeszcze tylko na kolor czerwony, pomalował wszystkie myszy na czerwono i odtąd gospodarz pozbył się plagi z domu, bowiem stary kot wyłowił wszystkie myszy.

Marjan Kowalów.

Dziwny człowiek.

Wiele możnaby powiedzieć o ekspresji jego muzyki. Niedawno wobec grona znajomych popisywał się własną kompozycją p. t.: „Burza na morzu". Grał tak niewymownie burzliwie, że wszyscy słuchacze dostali choroby morskiej. Oddaje się również namiętnie sportom. Jako szybkobiegacz, może się pochwalić niebylejakim rekordem. Potrafi tak szybko biegać naokoło stołu, iż samego siebie przegania. Chlubi się również rekordem w dziedzinie wytrzymałości. Otóż nabiera w usta lodowatej wody, siada na rozpalonej płycie i czeka, aż ta woda się zagotuje. Znane jest również jego wojownicze usposobienie. Kiedyś tak bił się z własnemi myślami, iż musiała wkroczyć policja.

K. M.

Polowanie na strusia.

Czarny postanowił upolować strusia. a że łysinę miał jak strusie jajo, nie potrzebował już żadnej innej broni. Tylko pomyślał:

Łysina moja to najlepszy sposób; niechno ją tylko zobaczy struś, złapie się na nią, jak mysz na słoninkę. To mówiąc, poszedł na pustynię i wkopał się w piachy, aż po czub. Nazewnątrz wystawało tylko tyle jego łysiny, ile wystaje strusiego jaja, do połowy w piasek wkopanego. Czarny czekał. Wkrótce nadeszła strusica i, zoczywszy zdala jajo, spoziera ku niemu raz lewem, raz prawem okiem. Wreszcie usiadła jako dobra matka. Tego tylko brakowało. Dziki złapał strusicę za nogi i zaniósł do domu.

Nik.

Latające serce.

Było to w czasie Wielkiej Wojny. Patrol polski, złożony z kilku legjonistów przeszukiwał okolicę pewnego małego miasteczka. Owocem tych poszukiwań było schwytanie szpiega. — Nazajutrz miano go rozstrzelać. Pod słupem ustawiono skazańca, dziesięć luf skierowało się w serce delikwenta. „Ognia" zakomenderował oficer, zagrzmiała salwa. Nieszczęśliwy zachwiał się i upadł. Lekarz zbliżył się do ciała, aby stwierdzić śmierć. Lecz o dziwo! Doktór nietylko nie stwierdził zgonu, lecz oznajmił, że niedoszły skazaniec jest zaledwie lekko zraniony. Nieudolność strzału żołnierzy była całkowicie wykluczona, gdyż szpieg zraniony był w miejsce, gdzie zazwyczaj znajduje się serce Skazańca uratował jego nieopanowany strach, bo gdy żołnierze dali ognia, serce jeńca uciekło nagle do pięt i wróciło na miejsce dopiero po odzyskaniu chwilowo straconej przytomności.

Wicek Warszawiak.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

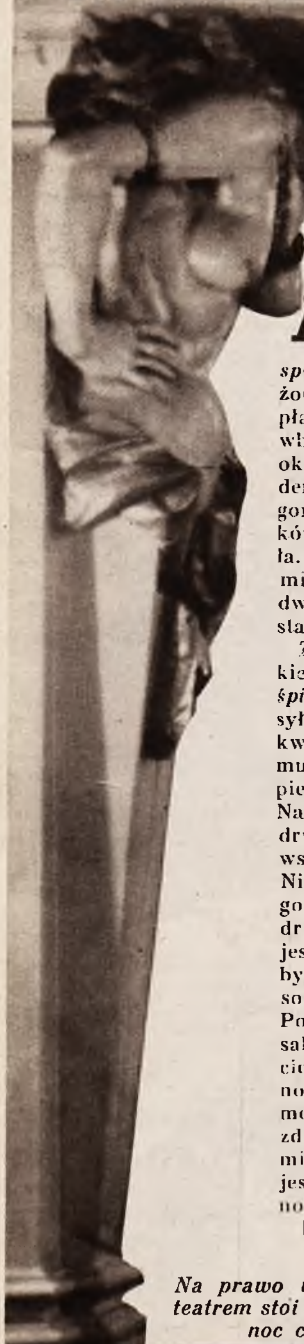
Numer 27 | Niedziela 5 lipca 1936 | Rok II

ASY NUMERU 27-GO:



Jeżeli dyplomaci twierdzą, że w polityce europejskiej nastały gorące czasy. to to samo może stwierdzić każdy z nas i to na własnej skórze. Letnie upały zwabiają ludność miast na plaże podmiejskie lub do pływalń, dających ochłodzenie i wypoczynek. Jedną z najhardziej uprzywiljowanych pod tym względem stolic, jest bezwątpienia Budapeszt, posiadający poza wspaniałym i rozlewnym Dunajem z jego uroczemi plażami, również liczne pływalnie, a przedewszystkiem wspaniale urządzone nowoczesne „termy" Gellerta (na zdjęciu). Oto jak zmęczeni upałem mieszkańcy Budapesztu zażywają tam milej kąpieli, lub flirtują przy porcji lodów i mrożonej kawie. Fot. J. Szwedo, Kraków.

Wieczór wielkiej premjery





Na lewo i prawo: Karjatydy, zdobiące filary klatki schodowej teatru im. J. Słowackiego w Krakowie.

Auto zatacza łuk dokoła trawnika i zatrzymuje się przed teatrem. Z auta wyskakuje pan, *który się zawsze boi spóźnić* i gwałtownemi ruchami przynagla żonę i dzieci. W jak najszybszem tempie płaci szoferowi, poczem wszyscy pędem wbiegają do teatru. Na pierwszem piętrze okazuje się, że mają lożę parterową. Pędem zbiegają na dół. Później zaczyna się gorączkowe poszukiwanie lornetki, cukierków, chusteczki dla obtarcia spoconego czoła. Wreszcie wszyscy siedzą na swoich miejscach i stwierdzają, że jest jeszcze dwadzieścia minut do rozpoczęcia przedstawienia.

Znacznie później, lekkim, tanecznym krokiem nadchodzi pani, *której się nigdy nie śpieszy*. Jeszcze przed drzwiami staje i posyła rozmarzone spojrzenie w kierunku kwietników przed teatrem. W hallu zatrzymuje się i obrzuca krytycznem okiem popiersie Kamińskiego, czy też Tarasiewicza. Na szept biletera, że już czas, odpowiada drwiącym uśmieszkiem. Przegląda się we wszystkich lustrach. Nie słyszy trzeciego dzwonka. — Od drzwi wraca się raz jeszcze do garderoby, aby poprawić sobie maquillage. Potem wchodzi na salę, gdy już jest ciemno, depce po nogach sąsiadów i mówi głośno ze zdumieniem: „nie miałam pojęcia, że jest już tak późno!".

Pani, której się nigdy nie śpieszy i pan, który boi się spóźnić, należą do każdej premjery, niemal jak rekwizyty teatralne. A za nimi i przed nimi ciągną inni. Raz poraz zajeżdża auto, to dorożka. Teatr robi się coraz jaśniejszy. Karjatydy z przedsionka mają ochotę wybiec na ulicę, na spotkanie gości. Przed teatrem stoi kilku panów i pali pośpiesznie papierosy. Jakiś chłopak nahalnie sprzedaje kwiaty. Jakiś inny wykrzykuje tytuły gazet. Policjant powtarza: „proszę nie tamować ruchu". Jeszcze krótka chwila i teatr raptownie zgaśnie, a zacznie się przedstawienie.

Przed teatrem stoi cudowna, upalna noc czerwcowa i koniecznie chce zajrzeć do środka. Pachnąca jaśminami wciska się przez wszystkie okna, nawet do garderób artystów. Za kulisami jest jasno, jak w dzień. I gwarno. — Niejeden słowami chciałby pokryć tremę. I wieczna dyskusja na temat *„czy sztuka chwyci — czy nie chwyci?"*. W wąskich korytarzykach przeciskają się barwne kierezyje Krakowiaków i cyfrowane portki góralskie. Śliczna narzeczona w krakowskim stroju poprawia sobie ołówkiem brwi. Jest tak gorąco, że szminka się wciąż rozlewa po twarzy. Koszule górali lepną im do ciała. Tu i tam mignie się postać inspicjenta. Reżyser i pomocnik reżysera są na miejscu. Za chwilę dyrygent da znak i zacznie się przedstawienie.



Na prawo w kole: ...przed teatrem stoi cudowna, upalna noc czerwcowa.

Poniżaj: Parter i loże I piętra podczas spektaklu.







Jakieś oko przylgnęło do otworu w kurtynie. Może to aktor, a może to strażak, nudzący się poprostu w wiecznem pogotowiu ogniowem? Przez otwór w kurtynie widać dokładnie siedzących i schodzących się jeszcze widzów. Kobiety mają barwne, lekkie suknie — wiadomo, lato. Mężczyźni są w ciemnych ubraniach — przecież premjera. Od lóż do lóż posyłają sobie ukłony. Inni studjują programy. Inni zaglądają do orkiestry, która zaczyna już stroić instrumenty. Recenzenci mają bardzo ważne miny. Dzieci zachowują się z wielką godnością, bo im zapowiedziano w domu, że nie wolno pokazywać palcami!

Nad orkiestrą wyskakuje nagle sucha twarzy dyrygenta. Znany stuk pałeczki o pulpit. I podczas, gdy muzyka rozwija misterną melodję, teatr gwałtownie się zaciemnia, a kurtyna się podnosi nad przedstawieniem „Krakowiaków i Górali". Na scenie jest barwna skrzynia krakowska, z której pokolei wyskakują aktorzy, wystylizowani na śliczne, barwne lalki, a ich ukazanie s wita za każdym razem pełne podziwu „aaa", lub też rzęsiste brawa.

Powyżej: W garderobie podczas charakteryzacji.

Na prawo: Żyrandol, wiszący u sufitu widowni, zgaśnie po uderzeniu gongu... — Poniżej: Mechanik przy reflektorze za kulisami.



Przygotowane na „Dni Krakowa" przedstawienie „Krakowiaków i Górali" przeszło wszelkie oczekiwania. I dlatego warto przypomnieć słowa recenzenta wileńskiego, który przed równo studwudziestu laty, bo w roku 1816, w ten sposób powitał przedstawienie tego czarującego widowiska:

„Opera ta zdolną jest i długo jeszcze zdolną będzie szlachetne i słodkie w widzach polskich wzbudzać wspomnienia, a przy doskonałej i czarującej muzyce tkliwe jej piosenki przejdą do wnuków naszych i ku sławie autora z tąż samą, jak i przez nas, słodyczą powtarzanemi będą".

Otóż ów recenzent wileński znał się widocznie dobrze na swym fachu, gdyż po studwudziestu latach tkliwe piosenki „Krakowiaków i Górali" wywołują tensam uśmiech rozrzewnienia na ustach słuchaczów. A chociaż opera Bogusławskiego i Kamińskiego przechodziła ciągłe modyfikacje i na jej kanwie każdy insenizator dohaftowywał coraz to nowe motywy, to jednak zachowała swój czarujący prymityw, swoją bujną narodowość i szlachetny demokratyzm.

„Krakowiacy i Górale" ujrzeli światło kinkietów w przeddzień insurekcji Kościuszkowskiej i od tego czasu przeszli do żelaznego repertuaru wszystkich scen polskich. Ileż w nich było ciągłych warjantów, ciągłych aluzyj poiltycznych, przemycanych pod okiem cenzury ku wielkiej uciesze publiczności. Zapewne i czarująca piosenka o „sercach, które miłość spoi..." i o tem, że „co się człowiek stracić boi, to tem więcej jeszcze kocha", — miała raczej na myśli wolność, niż miłość. — W każdym razie oddźwięk tej sztuki u publiczności jest poprostu niezrównany. I ten sam oddźwięk uzyskała i ostatnia jej reprezentacja krakowska.

„Krakowiaków i Górali" wystawił w Krakowie Zygmunt Nowakowski, dobrawszy sobie do części muzycznej Kazimierza Meyerholda, a do choreografji Ziemowita Karpińskiego. Nowakowski wystawił zresztą sztukę tę już przed siedmioma laty, będąc ówczesnym dyrektorem teatru im. J. Słowackiego. Wówczas także sukces był nadzwyczajny i publiczność nie mogła się dosyć nacieszyć tem arcybarwnem i arcyśpiewnem widowiskiem. Obecnie, inscenizacja poszła po tej samej linji, co i wtedy, tylko przybyło dużo nowych piosenek i aktualnych dowcipów i dużo nowych reżyserskich pomysłów.

Poniżej: Świetny tercet aktorski, odtwarzający tytułowe role w „Krakowiakach i Góralach" — od lewej: pp. Kazimierz Fabisiak Alina Matusiakówna i Wacław Nowakowski.





Scena końcowa aktu II-go „Krakowiaków i Górali".



Na prawo: Po skończonym spektaklu robotnicy usuwają ze sceny dekoracje...



Grupa górali z I. aktu.



Prof. Kazimierz Mayerhold przy pulcie dyrygenta.

Reżyserja Zygm. Nowakowskiego jest pełna rozmachu, widowisko, które nam daje, przelewa się aż po brzegi weselem, radością życia, najbujniejszą fantazją. Kiedy przy końcu trzeciego aktu w takt mazura i oberka zaczynają tańczyć malwy, rosnące przed chatami i żóraw studzienny i drzewa i chaty, wówczas entuzjazm i rozbawienie publiczności dochodzi do takiego nasilenia, iż wydaje się, że za chwilę cały teatr zacznie tańczyć wraz z Karjatydami i wspaniałym żyrandolem...

Aktualne krakowiaczki Nowakowskiego witano z niekłamaną radością i hucznemi brawami. Była w nich bowiem owa satyra, co „prawdę mówi, względów się wyrzeka, wielbi naród, czci króla, lecz sądzi człowieka". Zacytuję z pamięci jedną z takich piosenek:

„Nie od razu Kraków stanął
I na zwłoce tylko zyska,
Przez lat dziesięć budowano,
Wikarówkę i Feniksa".

W udaniu się tego pięknego widowiska poniósł dużą zasługę kierownik muzyczny p. Kazimierz Myerhold, który skomponował bardzo piękny duet w drugim akcie, oparty na motywach ludowych. Muzyka tej „opery narodowej", jak ją nazywa afisz, wymaga wogóle wielkiej pieczołowitości. Wybuchająca czasem z nieposkromionym temperamentem, innym razem ma dźwięki starej pozytywki i musi być wykonana z wielką finezją.

Pięknie wystylizowane dekoracje dał p. Różański. A aktorzy? Aktorzy dali tak wiele, że trudno poprostu wyliczyć wszystkie ich zasługi. Zespół dramatyczny, który naraz po trzech tygodniach prób stał się zespołem operowym, jest czemś bądźcobądź nie często spotykanem. Trzebaby przepisać cały afisz tego spektaklu, ażeby wymienić wszystkich aktorów godnych wyróżnienia. A, jak tańczyli! Stronę choreograficzną przygotował, jak już zaznaczyłam, Warszawianin, p. Ziemowit Karpiński. I znowuż nie chciało się wierzyć, że to zespół dramatyczny wykonuje te wszystkie „pas" baletowe. A mazur „zwodzony", zatańczony w ostatnim akcie przez pannę młodą porywał wprost zgrabnością i temperamentem.

Miłym był widok publiczności, która po każdym akcie przedstawienia nie chciała opuścić sali teatralnej, — wywołując wciąż reżysera i aktorów. A aktorzy zziajani od gorąca, nie mogący tchu złapać po niedawnych tańcach, bisowali wciąż na nowo i — widać to było doskonale — bawili się tak samo, jak publiczność

Ze sceny przemówiły do publiczności krakowskiej słowa, pisane stokilkadziesiąt lat temu i przemówiły stare melodje, — kazały się zastanowić nad niejednem, trochę szarpnęły za serce. — Tyle się zmieniło od czasów Bogusławskiego, tyle wody upłynęło w Wiśle, tak odmienną szatę przywdziało życie! A jednak odczuwamy te słowa, które przecież powinny na potęgę „trącić myszką", tak jak je odczuwano wówczas!

Za oknami stała upalna, jaśminami pachnąca noc czerwcowa. Pustoszeje powoli teatr puścieją loże, fotele, korytarze. — Bileterzy zamykają drzwi. Zgasł wielki żyrandol. Strażak zabrał się do domu. Wszystkiemi drzwiczkami wycieka z teatru publiczność. — W uszach mają jeszcze skoczne dźwięki mazura, w oczach bajecznie kolorową zjawę „Krakowiaków i Górali".

Jola Fuchsówna.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. „AS"

Po sezonie filatelistycznym...



Skwarne lato nie oddziaływuje dodatnio na namiętność zwaną filatelistyką, ale niemniej właśnie z okazji kończącego się sezonu postanowiliśmy zareprezentować naszym Czytelnikom kilkanaście ciekawych okazów, stanowiących kwintesencję rocznego „dorobku" jednego z krakowskich zbieraczy.

Kącik filatelistyczny będziemy kontynuowali nadal i mamy już w tece pokaźny zapas nowości, wobec tego jednak, że Redakcja użyczyła nam tym razem cokolwiek więcej miejsca, postanowiliśmy pomówić trochę o „antycznych" znaczkach. Zbiór ogólny w dosłownem tego słowa znaczeniu jest obecnie nie do pomyślenia, gdyż co krok trafiałyby się tak ogromne luki, że nie miałoby się (a o to przecież chodzi) wyobrażenia o znaczkach danego państwa. Jeden z miejscowych filatelistów przesłał nam swe uwagi na ten temat i zamieszczamy je poniżej.

„Wraz z moim starszym bratem zbieramy znaczki od najmłodszych lat i wobec braku wskazówek zatrzymywaliśmy początkowo w zbiorze wszystko, co nam tylko w ręce wpadło. Kupno 3-ch albumów w roku 1923 zadecydowało jednak o naszym programie: Wyeliminowaliśmy wszystkie pozaeuropejskie, ukazujące się po tym terminie, a z europejskich uznajemy obecnie tylko kilka państw „bieżąco", a z pozostałych wyłącznie regularne serje, odrzucając zupełnie bezsensowne dobroczynne i jubileuszowe „serjeweże" (Hiszpanja — Portugalja).

„Każda liszka — swój ogon chwali", a każdy filatelista jest dumny ze swych rarytasów. Powierzam więc Redakcji „Asa" (tylko broń Boże nie uszkodzić!) kilka najcenniejszych okazów do sfotografowania, które wzbogaciły nasz zbiór w ciągu sezonu 1935/6. Przypuszczam, że innych Czytelników „Asa" zaciekawi, w jaki sposób i „za ile" zdobyliśmy te znaczki, które chociaż są niczem wobec Mauritiusów itp., jednak w niejednym polskim zbiorze brakują.

Stany Zjednoczone są według nas najpiękniejszym terenem filatelistycznym i uroku dodaje im to, że... dalej mnóstwo znaczków kosztuje grubo ponad 10.— Michla, a pozatem, że ich nigdzie zdobyć nie można... Jesteśmy zadowoleni, że znajdujemy się omal „u kresu", bo możemy już zareprodukować 3 najrzadsze znaczki opłaty. Znaczek fot. nr. 1. został wydany w pierwszej oficjalnej serji U. S. A. z r. 1845. Cięty jest bez zarzutu, ale chociaż stempel ma bardzo zamazany, po długich targach zapłaciliśmy za niego 40 zł. od likwidującego swój zbiór starego zbieracza (katalog Michla RM 150.—). Następny (nr. 2) za 5 c. kosztował 54 zł. (we firmie Gelli-Tani w Brukseli). Wychodził bardzo krótki okres czasu w 1856, bo zaledwie rok, podobnie jak i następny za 90 centów (Nr. 3) z 1860. Tego ostatniego, który nam długi czas brakował nie mogliśmy nigdzie nabyć i udało się nam go uzyskać za b. niską stosunkowo cenę 76 zł. na aukcji u Plumridge'a w Londynie, dlatego tylko że jest bez gumy. Na temat gumy wyraził się jeden z naszych kolegów: „zbieram znaczki a nie gumę", my jednak wolelibyśmy gdyby i ten okaz był w stanie „nagumowanym". Słynna serja Kolumba była przez długi czas „zakałą" naszej kolekcji. Nareszcie jednak udało się nam uzupełnić ją wraz z kupnem całego zbioru. Cena jest przy takich, jak rzadko niestety trafiających się okazjach, wprost śmieszna, bo 5-dolarówką (Nr. 4) wypadła na 14 złotych, gdy w Ameryce, jeśli tylko trafi się wynaleźć taki egzemplarz, nie można go dostać niżej pełnej ceny katalogu (RM 80.— = 80 zł.). Wykonanie sztychów — znaczków serji 1873 jest wspaniałe i mimo, że znaczek urzędowy za 90 c. jest silnie prześwietlony, zdecydowałem się zapłacić za niego firmie Witkowski w Poznaniu 5 zł. (kat. 60.—). Czy klasyczny sztych nie robi piękniejszego wrażenia od rotograwiury, ale wykonać go należycie potrafi tylko prawdziwy artysta!

W wyżej wspomnianym nabytym zbiorze znalazły się także Portugalja za 240 reis (Michel 120.—) i Hiszpanja z 1835 r. (Michel 135.—), które po rozliczeniu wypadły na 19 wzgl. 20 złotych. Jedynie więc w ten sposób można zdobyć rzadsze sztuki, bo we większych sklepach magromadzone są obecnie albo tylko nowości a lepsze sztuki i starsze egzemplarze nie są osiągalne.

Jedynie kilka firm oferuje znaczki nie będące jej własnością, ale pośrednicy tylko w sprzedaży. Tu i ówdzie zdarzają się więc okazje, zwłaszcza przy rozpiętości cen Yverta i Michla i tak u Gelli-Tani udało się nam nabyć Monaco 5 fr. + 5 fr. za 90 zł. (Michel 350.—) i Rosję za 7 rubli „bez strzałek" za 10 zł. (RM 200.—).



Gdyby Monaco było lepiej centrowane, warte byłyby napewno 30% więcej ale cóż robić...

W Krakowskim Klubie Filatelistycznym nadarzyła się raz w ciągu bieżącego sezonu nakomita okazja, dzięki której przyszliśmy do posiadania luksusowego egzemplarza najdroższego znaczka Europy, jeśli chodzi o wartość nominalną. Jest to znaczek angielski za 5 funtów (netto 130 zł.), który w latach dziewięć dziesiątych służył do frankowania przesyłek pieniężnych olbrzymiej naturalnie wartości skoro sama opłata tyle wynosiła. Podobny egzeplarz kosztował w jednej firmie berlińskiej 300.— zł. i miałem szczęście, że byłem pierwszym przy otwarciu wyboru z likwidowanego zbioru nadesłanego z Warszawy — i mogłem wykorzystać to, nabywając tę markę za 75 zł. Jeden z moich kolegów klubowych ofiarowywał nam natychmiast znacznie więcej, ale bezskutecznie... Jeszcze taniej stosunkowo kosztowała z tego samego wyboru Anglja za 1 funt koloru lila ze znaczkiem wodnym „jabłka królewskie" (RM 180.—/54 zł.).

Naturalnie, że przy bieżących znaczkach nie ma mowy o cenach procentowych i nikt nie dostanie Malty za 1 funt niestemplowanej niżej 27 złotych. W tym jedynym wypadku udało nam się dostać taki egzemplarz drogą wymiany za Feldpost I 10 Koron. Węgry za 5 centów przedstawiają się blado w tak doborowem towarzystwie, zwłaszcza że kosztowały nas — 5 groszy!

Kto wie jednak czy nie jest to najrzadszy z tych wszystkich znaczków ze względu na: jak pisze Michel „überaus seltene Zähnung 9 1/4". Cena notowana 450.— jest naturalnie tylko teoretyczna, ale z owej serji nie zdarzyło się nam nigdy drugiego egzemplarza o podobnem ząbkowaniu spotkać. Podobna odmiana cieszy naturalnie tylko specjalistę, o ileż więcej jednak miałem przyjemności, gdy nabyty znaczek dopłaty austrjacki za 20 hal. z przedrukiem „poczta — polska", którego istnieje zaledwie 300 sztuk, okazał się prawdziwym! Obecnie wobec przepisów dewizowych kupowanie znaczków zagranicą jest niemożliwem — mam nadzieję jednak, że drogą wymiany w przyszłym sezonie zdobędę znowu coś co będę mógł pokazać za pośrednictwem „Asa" mym kolegom.



Polska odznaka jeździecka.

Polska Odznaka Jeździecka

Tyle się słyszy o powolnym postępie motoryzacji w Polsce, słyszy się narzekania, że koń wypiera znowu automobil, ale podczas gdy najbardziej ekscentryczny strój kierowcy automobilowego nie wzbudza już nietylko podziwu, ale nawet zainteresowania, to zwykły normalny, skromny strój jeździecki staje się w jednej chwili atrakcją ulicy a jego właściciel przedmiotem mało przyjemnej i przeważnie ironiczno-złośliwej owacji.

Sport jeździecki w kraju kawalerzystów, za jaki uchodzi Polska, jest jednak kopciuszkiem. Każda inna gałąź sportu ma prawo do większej opieki i względów, ale nie jazda konna. Bo sport ten do dziś dnia uchodzi wyłącznie za sport ludzi zamożnych. Słyszy się zdanie, że jeśli kogoś stać na konia, no to stać go i na inne dodatki i likwiduje się tereny jeździeckie (tor wyścigowy w Krakowie) na rzecz innych sportów

Sport konny w Krakowie posiada bardzo bogate tradycje, które obecnie kontynuuje Krakowski Klub Jazdy Konnej. — Jeżeli wszystkie organizacje borykają się z trudnościami, to cóż dopiero mówić o tak kosztownym sporcie, jak jazda konna. Dzięki jednak prezesowi Klubu, którym jest dowódca Brygady Kawalerji, płk. Piasecki, sprawa posuwa się naprzód a dowódcy pułków broni konnej w Krakowie nie odmawiają swego poparcia wszelkim poczynaniom Klubu.

Doroczną imprezą Klubu jest bieg myśliwski na św. Huberta. Impreza ta stanowi punkt centralny o szerszem znaczeniu. Drugim takim punktem są konkursy konne, organizowane corocznie w czerwcu. W r. b. Klub zainicjował w Krakowie po raz pierwszy próbę o Polską Odznakę Jeździecką. Inicjatywa ta zasługuje na specjalne podkreślenie i uznanie; zdołała bowiem przyciągnąć i zdobyć dla sportu jeździeckiego wielu nowych zwolenników.

Same zawody byłyby rzeczą dużo łatwiejszą, ale Klub, zdając sobie sprawę z tego że do zawodów konieczne jest odpowiednie przygotowanie, przeprowadził także zaprawe przez szereg tygodni, którą zajęli się wytrawni instruktorowie i świetni jeźdźcy a mianowicie rtm. Szczucki i kpt. Mrowec. Ich to zasługą jest, że wiele osób nauczyło się porządnie jeździć konno.

Materjału końskiego dostarczyło, jak zwykle w takich razach, wojsko. — I trzeba przyznać, że materjał ten w większości wypadków był doskonały. Podczas samych zawodów, które trwały dwa dni i obejmowały pełną próbę konia wierzchowego (próba na ujeżdżalni, próba wytrzymałości i konkurs skoków), okazało się, że na treningu skorzystali zarówno jeźdźcy, jak i konie.



Na prawo: Próbg na ujeżdżalni wzbudzają ogólne zainteresowanie. Od lewej są widoczni pp.: Jerzy Kossak, znany malarz (w furażerce), Chludzińska, (pierwsza na ławce), prezes klubu płk. Piasecki, Szawłowska, rtm. Starnawski, dyr. Rogalska.

Wszystkie zdjęcia Fot. „AS".

Szczególnie dobrze wypadły amazonki. Panie: rotmistrzowa Szczucka, Strzelecka, Rogalska, K. Chludzińska, Łoteczkowa (dawna mistrzyni Polski w narciastwie), Dzięciołowska-Śmiałowska i Nagrabianka zdobyły w dobrej formie P. O. J., przyczem trzy pierwsze otrzymały srebrną odznakę a pozostałe bronzową. — Wśród panów przeważali oficerowie i podchorążowie rezerwy, choć nie brak także i „prawdziwych" jeźdźców cywilnych. Start senjorów pp. Jerzego Kossaka i sędziego Włóczkowskiego udowodnił, że także starsze pokolenie nie stroni od zawodów konnych.

W klasie „głównej" odznaki zdobyli: pp. Sadowski, W. Długoszewski, S. Roniker, J. Cienciała, Z. Mandat, A. Ryszka, Z. Cuber, B. Sztukowski, M. Szary, Z. Majchrowicz i W. Prabucki.

Należy zaznaczyć przytem, że zaprawa do zawodów odbywała się w niezwykle miłych warunkach, a uczynność dowódcy 5 d a k, płk. Pasternaka i dowódcy 5 Szw. Pionierów, rtm. Szczuckiego udowodniła ich wielkie przywiązanie do sportu konnego. Zawody te pozostawiły po sobie wdzięczne wspomnienie, jako impreza ze wszech miar udana.

W. D.



P. Elżbieta Dzięciołowska-Śmiałowska na klaczy „Ilona".



Na lewo: P. Zofja Szczucka, ze swą klaczą „Tahiti".

Poniżej: Grupa uczestników z wodów o P. O. J. Od lewej: pp. Rogalska, red. Długoszewski, Szczucka, podchor. Cienciała, Strzelecka, podchor. Ronikier, przed końmi stoi rtm. Szczucki.





BIAŁY MAK

W. J. TURZAŃSKI NOWELA **Ilustrował Z. HAUPT**

Porucznik królewsko-brytyjskiej wojennej floty inż. Dawid Smith wyciągnął rewolwer i wycelował. Było to zdarzenie tak niezwykłe, że ogrodnik, Chińczyk Pei-Czu, oniemiał ze zdziwienia, wypuścił na ziemię kłącze sadzonych przed chwilą roślin, przykucnął niżej i z pod przymkniętych skośnie powiek obserwował pilnie angielskiego oficera.

Inżynier Dawid Smith stał na bocznej ścieżynie, wiodącej w kierunku pól ryżowych i rowów irygacyjnych. Był to 36-letni wysoki i nieco pochylony mężczyzna. Na tle kępy zielonych i strzelających w niebo bambusów podobny był do białego muchomora. Jasny smoking podkreślony bielą tropikalnego kasku mnożył w całej postaci podobieństwo do siwego jak mleko grzyba-albinosa. W wyciągniętej prawej ręce lśnił się złowrogo rewolwer.

— „Do kogo biały człowiek celuje?" — myślał pospiesznie Chińczyk i nie znachodził na to dręczące go pytanie odpowiedzi. Nagle przyszło mu na myśl, że inżyniera ogarnęła straszna choroba „amok" i że biały oszalał.

— „Słońce wysuszyło mu mózg" — szepnął Pei-Czu i przylgnął na wszelki wypadek niżej do ziemi.

Suchy strzał pistoletowy prześwidrował w sekundę później leniwą martwotę podzwrotnikowego południa. Stadko zielono-złotych papug wzbiło się z trzepotem nad gaj bambusów. W nieruchomem, odstałem powietrzu pęczniał upał.

W pięć godzin później ogrodnik francuskiej misji katolickiej Pei-Czu opowiedział o niezwykłem zajściu jedzącemu razem z nim wieczerzę boyowi. Chłopak do posług wysłuchał całej opowieści, zadał kilka rzeczowych pytań, poczem oglądnął się, oblizał w uśmiechu swoje tłuste wargi i znacząco postukał się w czoło.

Znaczyło to mniej więcej tyle:

— Biały oficer warjować.

Dla tych poprostu myślących ludzi nie ulegało bowiem najmniejszej wątpliwości, że Europejczyk i to w dodatku człowiek na wysokiem stanowisku, który bez najmniejszego powodu wyciąga rewolwer i strzela — że taki jest osobnikiem umysłowo zboczonym i dla otoczenia niebezpiecznym. Wiedzieli to z praktyki. Przytaczali w pamięci fakty. Białym nie służył klimat południowych Chin. Nie tak dawno przecie podoficer z patrolu ochraniającego przy francuskim konsulacie kapral Charlie Verquez zaczął spacerować po ścieżkach ogrodu i piać jak kogut. Pewnego upalnego dnia opętał go zupełnie ptasi duch. Kapral oszalał, zamknął się na wartowni i wołał, że nie da się zarżnąć i zgotować. Ponieważ zachodziła obawa, że lada chwila uruchomi znajdujący się na wartowni Hotshkis, przeto zastrzelili go właśni koledzy. Pei-Czu pamiętał, że ostatnim odgłosem, jaki wydał śmiertelnie trafiony kapral, było ochrypłe pianie.

Zresztą podoficer-Francuz nie był wyjątkiem. Tancerka z kabaretu Mercedes Dijo dostała pomieszania zmysłów na scenie. Wprost z Music Hallu odwieziono ją do Białego Domu przy najcichszej Ulicy. Ale nietylko ją. Mnóstwo innych.

Mózg białego człowieka był zdaniem Pei-Czu podobny do cytryny. Niewidzialne, a złowieszcze palce kantońskiego klimatu wyciskały tę cytrynę i wtedy nadchodziło szaleństwo. Dlatego stary ogrodnik nie dziwił się zupełnie angielskiemu oficerowi.

Powody niezwykłego postępowania Dawida Smitha przedstawiały się jednak zupełnie inaczej. Posiadały swoje dalekie źródo. Klęska wojsk Negusa w Abisynji wstrząsnęła moralnemi podstawami Imperium Brytyjskiego. Prestiż Anglji doznał w Afryce Wschodniej dotkliwej porażki. Ale nietylko w Afryce. We wszystkich kolonjach i dominiach handlowych zaczęły się sygnalizować pewne niepokojące objawy. Rozruchy w Palestynie, zbrojne demonstracje Japonji, peryskopy sowieckich łodzi podwodnych i niestrudzeni agitatorzy międzynarodówki — wszystko to razem stwarzało na Dalekim Wschodzie nerwową atmosferę oczekiwania i wewnętrznego napięcia.

Ludzie obeznani z trzęsieniami ziemi wiedzą, że wygasłe napozór wulkany, zanim znowu wybuchną, zaczynają wprzód dymić i ziać lawą. To samo działo się z ojczyzną Konfucjusza. Daleki Wschód dymił. Na brukach wielkich miast zaczęły się pojawiać najrozmaitsze ciemne indywidua, kreatury bez oznaczonego obywatelstwa, osobnicy bez moralnej gęstości, agenci obcych wywiadów i pospolici szpiedzy, zakapturzeni komiwojażerzy handlu bronią, banici anonimowych mocarstw i bezrobotni żołdacy i cała plejada osobników, snujących się za pierwszymi, jak cienie, których ze względu na wielopostaciowość i niestałość form niesposób opisać, a których zewnętrznym obliczem jest właśnie ów brak jakiegokolwiek oblicza, nazwiska, czy dającego się skontrolować zajęcia.

Dawid Smith znał tych ludzi. Nazywał ich alfonsami każdej Wielkiej Przygody. Byli to ludzie-hieny i ludzie-sępy, wietrzący żer dla swoich niskich apetytów. Nadmiar tego rodzaju kreatur w Kantonie sprawił, że pułkownik Blackstone zaniepokoił się. Pułkownik Blackstone był odpowiedzialny za spokój kapitału i obywateli brytyjskich w Kantonie i sto mil w promieniu Kantonu. Niepokój pułkownika Blackstone udzielił się drogą radjotelegraficzną dowódcy torpedowca „Admirał Jellicoe" i w dwa dni później do portu w Kantonie zawinęły trzy linjowe jednostki wielkobrytyjskiej wojenej floty.

Porucznik Dawid Smith, zajęty w charakterze oficera maszynowego, otrzymał jednotygodniowy urlop. Najzwyczajniej w świecie wysiadł na ląd, udał się do lekarza stomatologa i zaczął plombować zęby. Pomiędzy jedną wizytą u dentysty a drugą, odwiedzał francuską misję katolicką, gdzie przy szklance prawdziwego wina lubił pogwarzyć ze znajomym kanonikiem. Prowadził uśmiechnięte i pogodne dyskusje na tematy teologiczne. Przed zmierzchem Dawid żegnał się serdecznie z kanonikiem i rozpoczynał swój zwykły objazd.

Udawał się na zielono-żółte wody Starego Portu. Jeździł powoli prywatną motorówką i obserwował. Ten nawpół trzeźwy, uśmiechnięty człowiek nie był zupełnie podobny do angielskiego oficera. Raczej robił wrażenie zamożnego handlarza soją, który w wolnych chwilach pozuje na snoba-turystę.

Rzecz dziwna. Jeżdżąc, Dawid przypominał sobie, względnie rekonstruował w pamięci wzory trygonometryczne. Niekiedy wracał myślą do oxfordzkiego uniwersytetu, niekiedy zaś marzył o małych, ukrytych w zieleni stacyjkach. W myślach jego uporczywie powtarzał się symbol trójkąta oraz zarys dworca kolejowego. Niekiedy drogą nie wiedzieć jakich skojarzeń dochodził do tragedyj rozgrywających się na dworcach kolejowych, a wynikłych na tle trójkąta małżeńskiego.

W chwilach takich inżynier krzywił się boleśnie. Otwierał oczy, robił się momentalnie trzeźwy i w jednej chwili przypominał sobie istotną treść teraźniejszości. Oto on, porucznik królewskiej wojennej marynarki, jeździł po wodach Starego Portu w zupełnie konkretnym celu. Szukał i wypatrywał. Otrzymał rozkaz wynalezienia dżonki o trójkątnym żaglu. Dżonka miała stać dalego od brzegu. Na burcie ma być wymalowany błękitny gryf. Trójkątny żagiel jest umówionem hasłem.

Porucznik ma podpłynąć blisko, wywołać właściciela łodzi i rzec:

— Żagiel twój jest biały jak mleko.

Właściciel dżonki: „Istotnie, jest biały. Niestety, (znaczące mrugnięcie) — śpieszę się na pociąg...".

Porucznik: A jaką liczbę ma twój pociąg

Żeglarz (przechylając się przez burtę): „Pociąg mój stoi na wielkim czarnym dworcu, (szeptem) nosi liczbę R. 34".

Potem porucznik Smith miał podać żeglarzowi list i wziąć wzamian pakiet. Dawid domyślał się, że zapieczętowany list, który nosił w zanadrzu, nie ma charakteru wyznań romantycznych i że w pakiecie, jaki wzamian otrzyma, nie będą się znajdowały akcje kampanji angielsko-chińskiej. Wiedział o tem dobrze. Przeczuwał, że w pakiecie znajdują się jakieś ważne akta.

Tymczasem dni rozwlokły się. Urlop Dawida przedłużył się o dalszy tydzień. Dżonka z trójkątnym żaglem nie napływała.

W czasie powrotów z objazdu po przystani Dawid zaczął zwiedzać uliczki Starego Portu. Zanurzony w miękkie poduszki rikszy, kazał się wieść w stronę Hu-Sań-Czu, czyli „Krainy Siedmiu Dziwów". Po upalnym dniu z brudnej ziemi wstawał żółtawy pył zmierzchu. Słońce wbite śmiertel



Opary opium poczęły działać...

nie na maszt radjostacji krwawiło sentymentalną czerwienią asa kier.

Dawid znał wschodnie miasta, ale Stary Port w Kantonie odurzał go zawsze tak, jak fajka dobrego, indyjskiego opjum. Uliczki wyglądały, jak nie kończące się nigdy szpalery mistrzowsko zrobionych, ale nieco za małych i za ciasnych dekoracyj. Z poza parawanu teatralności wyłazili żywi i ucharakteryzowani nędzą ludzie. Niektóre biegnące znikąd zaułki były poprostu zakorkowane tłumami nawpół nagich, bezładnie wrzeszczących Chińczyków. Autochtoni robili wrażenie raczej stada wiecujących pingwinów aniżeli ludzi.

W trakcie takich wypraw w nieznane Dawid kilkakrotnie doznawał przykrego uczucia, że jest śledzony. Oficer czuł na swojej skórze czyjeś lepkie, spocone spojrzenie. W chwilach takich odwracał się, kontrolował gęstniejący mrok ulicy i przejęty uczuciem odpowiedzialności za swoją tajemną misję, kazał się natychmiast zawozić do domu.

W owe dni powietrze przesycone wilgocia i upałem robiło się podobnem do żółtawej, wrzącej i nawpół lotnej cieczy. Natomiast wino w misji katolickiej było o kilka stopni chłodniejsze, a rozmowy Dawida z kanonikiem bardziej długie i bardziej abstrakcyjne.

Dwunastego dnia pobytu Dawida Smitha w Kantonie, około godziny 1-ej przed południem oficer udał się jak zwykle do misji katolickiej i nie zastał kanonika w domu. Słońce prażyło pod kątem 90 st. W powietrzu syczał płonący upał. Dawid czuł, że koszula przylgnęła mu do ciała, jak mokry i nieco za duży kostjum kąpielowy. Dla ochłody wyszedł do ogrodu i tam przypomniał sobie, że ma w kieszeni świeżo kupiony automatyczny pistolet, że nikt go nie widzi i ogarnięty zrozumiałą dla celnych strzelców chęcią wypróbowania pistoletu, wprowadził nabój do lufy i wycelował.

Moment ten zaobserwował stary Chińczyk Pei-Czu. Nawprost Dawida chwiał się łan wspaniałych, szkarłatnych maków. Mniej więcej pośrodku grzędy, pośród fali kwiatów czerwonych pływał kielich maku białego. Oficer obrał ten biały mak za cel. Celował długo i ostrożnie, mierząc pod punkt. Kiedy wreszcie strzelił, posypał się deszcz płatków makowych i roztańczyły się korony.

— Ciekaw jestem, jak kula trafiła — pomyślał oficer, podszedł bliżej i oglądał ślad pocisku. Mak był ścięty. Łodyga chwiała się jeszcze, a na okrągłym przekroju ukazała się jasna jak mleko kropja cieczy.

— „Biały człowiek posiada mózg podobny do cytryny" — konkludował schowany w krzakach Pei-Czu i przylgnął na wszelki wypadek niżej ziemi. w tej samej chwili na zegarach wybiła godzina jedenasta rano. Dzwonek kaplicy misyjnej zaczął jęczeć pośpiesznie, krótko i nerwowo. Pei-Czu stukał się znacząco w czoło i chyłkiem uciekał do domu.

Oficer angielski stał nad kończącą się chwiać łodygą i przypomniał sobie strzępy rozmowy, jaką kiedyś prowadził z pewnym lekarzem opjumologiem.

— „Istnieje stara legenda chińska — mówił wtedy lekarz — że z pośród społeczności zwykłych czerwonych maków opjumowych wyradza się niekiedy mak szczególnie szlachetny o kolorze białym. Biały kolor kwiatu jest symbolem pewnej arystokratyczności tego ziela i jego wyższego posłannictwa. Biały mak jest dla Chińczyków tem, czem w Europie jest legendarny kwiat paproci. Dalej chińska przypowieść twierdzi, że kto skaleczy lub zniszczy taki kwiat, tego czeka śmierć. Ten jednak, komu danem jest zapalić fajkę opjum z białego maku — człowiek taki zostaje do końca życia jasnowidzem i może przepowiadać przyszłość".

Porucznik królewsko-brytyjskiej wojennej marynarki inżynier Dawid Smith stał nad szczątkami białego maku i sceptycznie się uśmiechał. Zniszczył przed chwilą właśnie święty chiński mak. Zgilotynowana kulą królewska korona kwiatu leżała u jego stóp. I nagle Dawid poczuł, że wstępuje w niego duch Niewiernego Tomasza. Zapragnął dotknąć palcem dna tej wschodniej tajemnicy. Zebrał troskliwie gęstniejącą na słońcu i podobną teraz do karuku kroplę opjum, zawinął ją w płatek makowy i schował do kieszeni.

W pół godziny później porucznik Smith dyskutował z pogodnie uśmiechniętym kanonikiem i usiłował staruszka przekonać o wyższości kościoła anglikańskiego nad kościołem rzymsko-katolickim.

W dużem, zarośniętem zieloną rzęsą, akwarjum, pluskały złote rybki. Za oknami stał upał gęsty jak lipowy miód. Ogrodnik Pei-Czu porzucił pracę i oddał się słodkiemu dolce far niente. Biały mak zwiądł, a płatki ściętej korony stuliły się i były podobne do trójkątnego żagla.

Tego samego wieczora porucznik Smith zanurzony po uszy w zmroku, wskoczył do taksówki i kazał się zawieźć do pewnego domu przy Woodrow Wilson Street. Na dole znajdowała się tam elegancka kawiarnia i dancing. W górnych piętrach sprytny właściciel ukrywał coś w rodzaju yosziwary oraz wytwornej palarni opjum.

— „Najbrudniejszy i najnikczemniejszy z twoich parobków wita cię szlachetny panie" — seplenił na widok Dawida ubrany we frak właściciel kawiarni Chińczyk. Porucznik z dwuznacznem mrugnięciem zażądał pokoju i spokoju. Idąc po schodkach do pokoju na górze, Dawid czuł, że jest zmęczony.

— Jeżeli upał potrafi — myślał — rozszerzyć rtęć w termometrach o 16° C. różnicy w ciągu jednego dnia, to cóż dopiero dzieje się z daleko delikatniejszym od rtęci szpikiem, jaki tkwi w kościach białego człowieka. — Myśląc tak, wszedł do oświetlonego dyskretnie przyćmionem światłem pokoju. Salon obity był czarnym kirem, a niskie sofy i poduszki zapraszały do spoczynku. W pokoju nie było okien.

— Boy — fajka, lampa — zakomenderował porucznik i zdjął marynarkę.

Służący-tubylec, ubrany w rodzaj kimono, obsługiwał natychmiast, zjawiał się oraz wychodził cicho, jak skośnooki duch.

Zwykła mała lampa spirytusowa napełniła czarny pokój niesamowitem żółtem światłem. W prawej ręce Dawid trzymał rzeźbioną w kości słoniowej fajkę, a w lewej srebrny drut, nie większy od igły do cerowania pończoch. Zręcznie osunął z drutu ziarnko opjum, ofiarowane mu przez właściciela spelunki i dobył z kieszeni opjum, zebrane z białego maku. Wprawnemi palcami ugniótł opjum na kulkę wielkości grochu, nabił na srebrną igłę, nałożył na fajkę i zapalił.

Dawid palił poprzednio już kilka razy. Nie był nałogowym palaczem, a poprzednie fajki miały charakter eksperymentu, mającego dużo pieniędzy, a nudzącego się na Dalekim Wschodzie mężczyzny. Bieżącą fajkę Dawid zapalił z ciekawości.

Zbliżona do płomienia fajka zaczęła lekko skwierczeć. Ziarno narkotyku objął płomień i zamienił je w bursztynową, płonącą kroplę. Porucznik zaciągnął się głęboko dymem i po chwili nie wiedzieć dlaczego, uśmiechnął się. Elektryczne światło przymknęło swoje błękitne oczy.

Lampka spirytusowa płonęła równym żółtawym płomieniem, kropla opium skwierczała coraz głośniej, a Dawid uczuł, że robi się lekki, coraz lżejszy i że podpływa pod sufit. Opary opjum zaczęły działać.

Dawid leżał w środku ciemnego pokoju. Ściany były tak czarne, że zdawały się b czworościanem, wyciętym z sedna, z owego bezświetlnego miąższu najczarniejszej podzwrotnikowej nocy. Trwało to chwilę. Potem czerń zaczęła się chwiać, rozsypywać w rój czarno-białych płatków i po bliższem przyjrzeniu się Dawid stwierdził z zadowoleniem, że prószy śnieg. Poznawał zdaleka angielską zimę, śnieżną, wilgotną i ciepłą zarazem. Żegnał się z szeregiem kolegów, odjeżdżających na święta Bożego Narodzenia. Zauważył, że każdy z przyjaciół ma na sobie szyldzik z wypisanym na nim potencjałem matematycznym. Byli to harmonijnie złączeni pół-ludzie, pół-wzory trygometryczne. Potem wzory zbiegły się razem, począł dąć niewidzialny wiatr i Dawid skonstatował, że jedzie przez środek szmaragdowego jeziora na łódce z trójkątnym żaglem.

— O której odchodzi twój pociąg? — pyta się Dawid niewidzialnego żeglarza.

— „Odchodzi z wielkiego czarnego dworca" — odpowiada melodyjny baryton. „Pociąg mój nosi liczbę R. 34".

Ale Dawid już nie słyszy. Pędzi Lux-Torpedą na dno ciemnego kenjonu. Ściany kenjonu złożone są z wielkich, czarnych dworców, zlepionych razem, jak plastry miodu.

Pęd robi się coraz szybszy, coraz bardziej

Poniżej: Do portu w Kantonie zawinęły trzy jednostki wielkobrytyjskiej floty wojennej.



zawrotny, pociąg zamienia się w świetlistą smugę, a wreszcie w rakietę, a Dawid czuje, że właściwie jest małym chłopczykiem, ot, takim maleńkim i że wypadł z łóżeczka i spada właśnie w straszną międzygwiezdną noc.

Dopiero na najstraszniejszem dnie nocy czekają na niego dobre, ciepłe, matczyne ręce i wkładają go zpowrotem do łóżeczka.

— Mamo, mamusiu! — woła Dawid i ma usta pełne szczęśliwego szlochu.

Łzy padają z jego oczu rzęsiste jak grad i Dawid widzi, jak słońce przegląda się w tych łzach. Chociaż, właściwie to spadł przed chwilą deszcz. Na rozłożystej jabłoni siedzi jego daleka kuzynka Elizabeth. Siedzi i kołysze nogami. Ubrana jest w krótką perkalikową spódniczkę, z pod której wstydliwie wyglądają różowe pończoszki. Kuzynka trzyma w podołku czerwone jabłuszka, rzuca niemi do studenta pierwszego roku inżynierji Dawida i woła ze śmiechem:

— „Och Dawidzie, jak mi przykro!"

Elizabeth posiada zdrowie, urok i wilgotne czerwone wargi.

Te wargi staną się pewnego dnia proste, równe i bezlitosne. I padnie z nich kłamstwo. Dawid siądzie na okręt i pojedzie w chmurną oddal. Noc będzie mściwie darła żagle. Z nieba, przebitego przez serce księżycem, będzie się sączył zakłamany śródnocny dzień. A wargi będą płynęły za Dawidem, podwoją się, potroją, pomnożą w fantastyczne sumy, rozpadną w rój astronomiczny różowych płatków.

Właściwie niema warg. Są natomiast maki. Jest łan szkarłatnych maków. Maki są krwiste, żywe i wdumane w błękit. W powietrzu stoi sypki, słoneczny upał. Jest południe.

Dawid jest także makiem. Rośnie korzeniem w pulchnej głębie i dumnie chwieje białą koroną. Jest białym, królewskim makiem. I widzi przed sobą oficera królewsko-brytyjskiej floty. Oficer stoi i celuje prosto w Dawida.

— „Kim ja właściwie jestem" — męczył się rozpaczliwie Dawid. Oficerem torpedowca „Admirał Jellicoe" czy makiem?".

Tę krótką chwilę zastanowień przerwał suchy pistoletowy strzał, który nim targnął i zatopił go w nicość.

— — — — — — — —

W kilka dni później rybacy wyłowili z przystani w Starym Porcie zwłoki porucznika Smitha. W czasie tym w pobliżu molo krążyła żaglówka z białym, trójkątnym żaglem. Jak stwierdzono, porucznik Smith został skrytobójczo zastrzelony. Kula przeszła mu przez kręgosłup i przerwała mlecz pacierzowy.

Pomimo, że zmarły był aglikaninem, kanonik francuskiej misji katolickiej odprawił za jego duszę nabożeństwo żałobne, na którym obecny był między innymi, wracając do Anglji, a przeniesiony nagle w stan spoczynku, pułkownik Blackstone.

Śledztwo nie ustaliło nigdy właściwych przyczyn tragicznego skonu porucznika królewsko-brytyjskiej floty Smitha.

FILM ★ IGIEŁKOWY



Scena z filmu „nakręconego" metodą „igiełkową".

Niezwykłą popularnością cieszą się filmy rysunkowe. Małej myszce Mickey Mouse zazdrości sławy niejedna gwiazda filmowa. Oglądając taki film na ekranie nie zdajemy sobie sprawy z ogromu wysiłków i trudów, jakich wymaga jego stworzenie. Zróbmy raz krótki „rachunek sumienia" na ten temat. Film rysunkowy, którego wyświetlenie trwa 10 minut, tj. 600 sekund, składa się z 14.400 poszczególnych (tj. 24 zdjęć na sekundę) obrazków. Każdy taki obrazek musi być osobno narysowany i osobno zdejmowany. Istnieją wprawdzie sposoby, zapomocą których zmniejsza się ilość kompletnych rysunków (np. w ten sposób, że przerysowuje się tylko przedmioty poruszające się, pozostawiając tło i przedmioty nieruchome bez zmiany), ale mimo wszystkich tych sposobów do wykonania takiego krótkiego filmu rysunkowego potrzeba, jak się okazuje ogromnego sztabu współpracowników, ogromnych ilości papieru rysunkowego, farb, celuloidu itd.

Ale także i w tej dziedzinie filmu zapowiada się zmiana, a co więcej, wynalazek, zmieniający zasadniczy sposób wyrobu takich filmów został już dokonany i zrealizowany. Filmy według nowego sposobu miały nawet bardzo znaczne powodzenie w Berlinie, Paryżu i Londynie. W Polsce jeszcze dotychczas filmów tych nie widzieliśmy. Ale zapewne wkrótce i do nas zawitają. Wynalazcami są Rosjanin Aleksiejew i Amerykanka Claire Parker w Paryżu. Obecnie dopiero ogłoszone zostały szczegóły, jak nowe te filmy zostały wykonane. Aleksiejew wraz ze swoją współpracowniczką byli jedynymi wykonawcami tego filmu. Potrzebowali dla uzyskania 12.000 zdjęć o wiele krótszego czasu, aniżeli dotychczas i bez użycia jakiegokolwiek papieru rysunkowego lub farb.

Właściwie, to w nowym filmie niema żadnych rysunków. Zamiast tablicy, na której się rysuje, jest tablica metalowa o grubości 15 mm. Tablica ta pomalowana jest cała na biało. Wymiary jej wynoszą 1 m szerokości na 1.30 m długości. W tablicy tej są wywiercone okrągłe otwory w ilości 500.000. Otwory te sąsiadują zatem ze sobą. W każdym z tych otworków tkwi igiełka o długości 25 mm zakończona spiczasto po obu stronach. Płyta jest więc najeżona igiełkami, które są podobne do gładkich igiełek gramofonowych, z tą różnicą, że są ostro zakończone z obu stron. Igiełki dają się z wielką łatwością przesuwać w swoich otworkach, tak, że można dowolnie i z łatwością

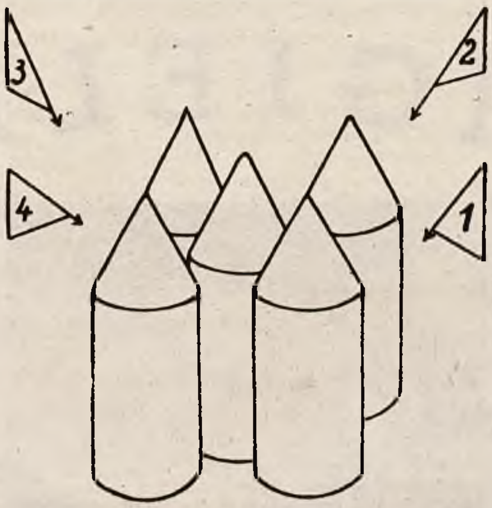
regulować ich długość, wystającą ponad płytę.

To jest dopiero jakgdyby surowiec, z którego mają powstać poszczególne obrazki. Otóż w gruncie rzeczy idzie tu o to, aby na płycie wywołać grę świateł i cieni, któraby zdaleka przedstawiała się obrazkowo. Przypomnijmy sobie, że gra świateł i cieni jest właściwie podstawowym elementem także i sztuki malarskiej. Jak więc mogą powstać na tej płycie światła i cienie? Wyobraźmy sobie dla uproszczenia sprawy 5 igiełek, sąsiadujących ze sobą, a mianowicie 4 igiełki otaczające jedną środkową. Taka „piątka" igiełkowa jest więc dla nas elementem obrazka. Przypuśćmy, że wszystkie igiełki tej piątki są jednakowo głęboko osadzone w swoich otworkach. Wyobraźmy sobie także, że płyta jest oświetlona przez cztery reflektory, umieszczone tak, że światło pada od czterech rogów płyty ku jej środkowi i snopy światła z tych reflektorów, nachylone są ku płycie najczęściej pod kątem 45 stopni. Wtedy za każdą igiełką powstaje cień, który w niektórych miejscach będzie zupełny, w niektórych zaś wogóle go nie będzie. Część płyty w samym środku tej piątki będzie zupełnie zaciemniona, to jest, nie dojdzie tam światło żadnego z 4 reflektorów, natomiast bliżej brzegu naszej „piątki" będziemy mieli miejsca, w których nakrywają się cienie 3 lamp, potem dwóch a wreszcie zupełnie jasne, to znaczy naświetlone w pełni przez wszystkie 4 reflektory. Mamy więc tutaj skalę od zupełnie czarnego pola do zupełnie białego. Przypomnijmy sobie, że każdy z tych sztyftów można osadzić w różnej głębokości. Jest zatem możliwość ogromnego zróżniczkowania gry świateł i cienia. Igiełka bowiem głębiej osadzona rzuca mniejszy cień. Sztuka artysty, tworzącego film rysunkowy według nowej metody, polega więc na tem, aby poszczególne igiełki osadzać tak głęboko, by w rezultacie płyta najeżona temi igiełkami wyglądała jak obraz o czarnobiałych plamach, odpowiadających kształtem danemu przedmiotowi. Zachodzi przytem ta ciekawa okoliczność, że obraz z jednej strony płyty jest dokładnem odwróceniem, czyli negatywem obrazu z drugiej strony płyty. Igiełki bowiem mają jednakową długość. Gdy zatem z jednej strony, przypuśćmy, igiełki są obsadzone jak najgłębiej, to znaczy że nic z nich nie wystaje i w danem miejscu płyta jest maksymalnie oświetlona, to w odpowiednich miejscach drugiej strony płyty będzie maksimum cienia, gdyż igiełki wystają w zupełności.

Jak z takiego ustawiania igiełek otrzymać można obraz jest zatem zrozumiałe, ale jak z tego wynika, nie jest to bynajmniej rzeczą łatwą. Trzeba być już artystą i mieć dużo wprawy, aby ze świateł i cieni stworzyć obraz, bez względu na to, czy idzie o obraz igiełkowy, czy też rysunkowy. Faktem jest, że Aleksiejew stworzył film długości 230 m., do którego musiał przygotować sobie około 1200 pojedyńczych obrazków. Na film ten potrzebował on rok czasu. Przeciętnie zatem fotografował miesięcznie 1000 obrazków, czyli uwzględniając 25 dni roboczych w miesiącu i 8-godzinny dzień pracy, zużył on przeciętnie na każdy obraz 12 minut. Rzecz jasna, że nie wszystkie obrazy wymagały tego samego czasu. Przy niektórych wystarczyło, aby tylko niektóre igiełki zostały głębiej osadzone, niektóre znów należało wyciągnąć, aby z poprzedniego obrazu otrzymać obraz nowy. Dla ludzi wprawnych ta manipulacja igiełkami jest rzeczą bardzo prostą i właściwie nie wymaga żadnego wysiłku fizycznego, gdyż igiełki bardzo łatwo dają się wysuwać.



Rozmieszczenie otworów na igiełki w płycie.



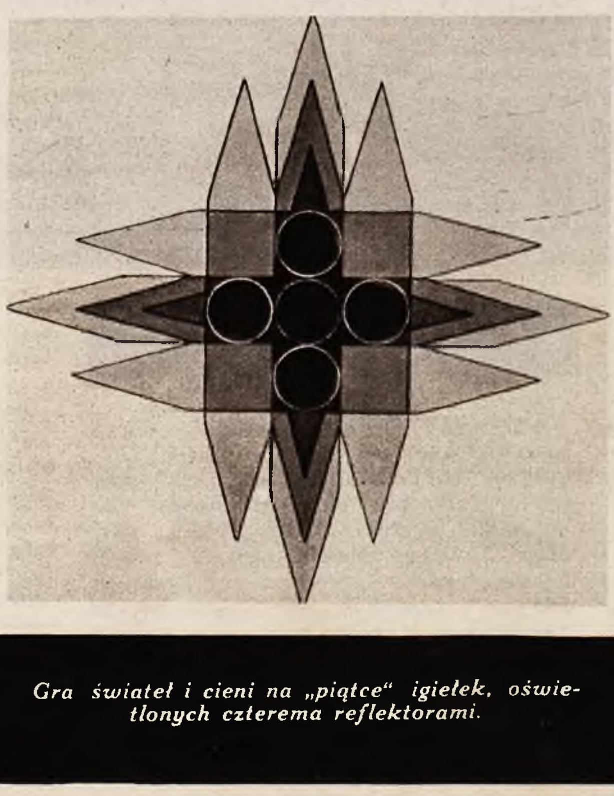
„Piątka" igiełek, widziana z boku. Kierunki strumieni świetlnych z czterech lamp zaznaczone są numerami.

Oczywiście wykonawca takiego filmu igiełkowego musi się posługiwać wszelkiemi skrótami, oszczędzającemi czas. A zatem robi on kolejno te obrazki, w których mamy to samo tło i te same przedmioty, tak, że łatwo jeden obraz przemienić w drugi, choćby przy wyświetlaniu filmu obrazki te wcale nie występowały jeden za drugim. Wielką zaletą tego nowego systemu jest, że płyta z obrazkami umieszczona jest w pozycji pionowej i oś aparatu fotograficznego jest pozioma, wskutek czego obserwacja na matówce aparatu jest bardzo ułatwiona, podczas gdy przy dotychczasowym systemie płyta stołu rysunkowego jest umieszczona poziomo, a aparat fotograficzny znajduje się nad tym stołem z osią, skierowaną prostopadle ku niemu.

Przy wyświetlaniu filmu igiełkowego odnosi się dobre wrażenie tylko wówczas, gdy nie obserwujemy filmu, na ekranie z zbyt małej odległości. W bliskości bowiem znać nieco, jakgdyby siatkę, czyli raster, charakterystyczny dla cynkograficznych zdjęć, które widzimy w w prasie codziennej. Ale przecież także przy zwyczajnym filmie, gdy siedzimy zbyt blisko ekranu, widzimy takie punkty, gdyż każda emulsja światłoczuła na taśmie filmowej posiada strukturę ziarnistą.

Zastosowanie filmu igiełkowego jest bardzo rozmaite. Przedewszystkiem dla filmów rozrywkowych, a wreszcie dla filmów reklamowych. Ponadto da się ten system zastosować także i dla filmów kolorowych, tak twierdzi przynajmniej p. Aleksiejew. Przyszłość pokaże, czy konkurencja filmu igiełkowego stanie się niebezpieczną także i dla filmów rysunkowych.

Inż. J. A



Gra świateł i cieni na „piątce" igiełek, oświetlonych czterema reflektorami.



CZAR LATA...

Lipcowe słońce promieniami głaska
wodę, co srebrem w kamieniach pomyka —
spójrzcie na tego miłego bobaska!
może to bożek jest tego strumuka?... z.

U ZBIEGU TRZECH KULTUR W JUGOSŁAWJI



Północną Jugosławję zdobią wspaniale położone miasteczka: oto widok na zatoką Hvaru.

Niezaprzeczony czar posiada Bałkan, ten ciekawy skrawek Europy, gdzie znajdowała się ojczyzna Hellenów, gdzie Rzym zetknął się z Grecją, gdzie Bizancjum tonęło w przepychu i wyrafinowanej kulturze.

Toteż znalazłszy się na gruncie jugosłowiańskim, nie mogłam zagrzać wyznaczonego mi miejsca. Coś mnie „korciło", ciągnęło w teren.

Z jednej strony nęciła mnie słoneczna, malownicza Dalmacja z paciorkiem wysp i wysepek, przeglądających się w lustrze modrego Jadranu, te wspaniałe palmy, oliwki, cyprysy, kaktusy, pomarańcze, migdały i winnice, — z drugiej zaś chęć poznania przeszłości kraju. Wszak tu każda piędź ziemi nasuwa daleką, zamierzchłą wizję przeszłości. Przecież to kraj, przez który przewalały się w ciągu wieków najrozmaitsze rasy kultury, cywilizacje, o który walczył Rzym z Illirami, hordy Ostrogotów, Hunnów, Herulów, Liburnów, Awarów z Rzymem i Bizancjum a następnie Wenecja, Turcja. Węgry i Austrja starały się odsławizować tę ziemię słowiańską. Te usiłowania jednak nie zdołały zmienić narodowego charakteru słowiańskiej ziemi.

Wiadomo, że historja każdego kraju wyciska zawsze swoje piętno na jego kulturze, cywilizacji, architekturze. I właśnie w Jugosławji poszczególne prowincje posiadają specjalną, starą własną architekturę, uzależnioną od wpływów kulturalnych i politycznych wywieranych na nie przez poszczególne państwa i narody. Przeto można w tym kraju wyróżnić kilka pasów kulturalnych, których jednak trudno wykreślić zwarte, jednolite obszary geograficzne. Bowiem w niektórych okolicach jeden pas zachodzi na drugi, lub też mieszają się wzajemnie.

W Jugosławji wyróżnić można skrzyżowanie trzech kultur. Aczkolwiek cały kraj od przeszło tysiąca lat jest słowiański, podobnie jak cały Bałkan — spotykamy tu często dzięki wiekowemu kontaktowi z zachodnim sąsiadem — interesujące resztki ruin z czasów rzymskich, z których najcharakterystyczniejszym jest niewątpliwie pałac cesarza Dioklecjana w Splicie. Zewnętrzny wygląd miast wybrzeża Dalmacji wykazuje piętno wielkiego wpływu weneckiego z poprzednich stuleci, a więc ozdobne pałace i pełne przepychu kościoły.



Powyżej: Na gruzach rzymskiej kultury: — to co pozostało z starożytnej osady Salony.

W głębi Dalmacji spotykamy wszędzie dumne pomniki kultury słowiańskiej — bogate klasztory z czasów pierwszego chrześcijaństwa — bizantyńską architekturę, świadków bohaterskiej przeszłości serbskiej z okresu średniowiecza.

Dalej na południowy-wschód występuje — jako trzecia — kultura muzułmańska, reprezentowana przez wysmukłe minarety.

Patrząc na gruzy kultury rzymskiej, mimowoli myśl biegnie w przeszłość, w te minione wieki, kiedy cesarz Dioklecjan, ostatni wielki reformator przedchrześcijański, organizator imperjum rzymskiego wybudował sobie w Splicie pałac, willę i zajeżdżał często w rydwanie, zaprzężonym w czwórkę ognistych rumaków. Odkopane ruiny amfiteatrów, chramów, bazylik, łazienek i cmentarzy w Salonie (koło Splitu) zawierają zabytki z czasów pierwszego chrześcijaństwa. Nie pomogły prześladowania chrześcijan, krew św. Domniusa i Anastazego stała się zwiastunem rychłego upadku potężnego imperjum, sięgającego od Atlantyku po Mezopotamję, od morza Północnego aż do południowych granic Egiptu. Hordy barbarzyńskich Gotów, Hunnów, Herulów, Ostrogotów i Awarów, wojny wenecko-tureckie, zamieniły sławną Salonę w kupę gruzów, tak, że dziś jest to miasto umarłych, istna nekropolja. Kamienne szkielety starożytnych budowli, potrzaskane kolumny zdają się jeszcze dumać nad wielką przeszłością.

Dziś, po gruzach nie stąpają cesarze, senatorowie, jeno żądni wrażeń turyści i... zbłąkane kozy, zwabione wystającą ze szczelin trawą. Dziś z kamiennych siedzeń amfiteatru nie woła rozbestwiony tłum na widok męczonych chrześcijan: mactel

Najlepiej reprezentowana jest średniowieczna kultura serbska i bizantyńska z odcieniem bądźto wschodnim, bądź zachodnim, przez liczne klasztory i cerkwie. P chodzi to stąd, że monarchowie serbscy przez podbój terytorjów bizantyńskich i przez związki małżeńskie byli w ścisłym kontakcie z cesarstwem wschodniem. Ale prócz elementów wschodnio-rzymskich nie można pominąć i zachodnio-romańskich. Królowie serbscy, zrzucając jarzmo bizantyńskie, szukali związków z zachodem, a rozszerzając swoje posiadłości aż do Dalmacji, natknęli się na tę cywilizację zachodnio-romańską. Najlepszym przykładem tego wpływu jest klasztor Deczani, wybudowany w stylu bizantyńsko-romańskim, zastosowanie marmuru, jako materjału budowlanego, a nie cegły układanej naprzemian z kamieniem. Dopiero z biegiem czasu zanikają



Na lewo: Jednym z najciekawszych zabytków Splitu jest gotycki pałac rektorski, obecnie muzeum

wpływy zachodnie, a wszechwładnie panuje styl bizantyński, przyczem łatwo rozpoznać w tych nowszych budowlach wpływ sztuki islamu. Bogactwo ornamentacyjne bierze górę nad prostą, jasną strukturą architektoniczną dawnych cerkwi. Ten kierunek dekoracyjny i ornamentacyjny rozwijał się do tego stopnia, że wymiary budowli uległy znacznemu uszczupleniu. Stąd wiele cerkwi robi wrażenie kaplic, a nie kościołów. Uderza



Kościół św. Jerzego na wyspie Otocic, należy do najpiękniej położonych w Jugosławji.

brak tego rozmachu przestrzennego, widocznego w naszych kościołach. Tej sztuce bizantyńsko-wschodniej szczególnie hołdowali Turcy, budując swoje kopulaste meczety na wzór bizantyńskich. Ta kultura i sztuka bizantyńska wyrosła na gruncie shellenizowanego wschodu, miała sugestywny wpływ na państwo, gdyż takim samym przepychem starali się otaczać władcy serbscy. I ta sztuka bizantyńska, jako mieszanina dorobku rzymskiego, helleńskiego ze wschodnim, przez swoją orgję barw, przeładowanie złotem, klejnotami i ornamentykę, miała w tych czasach znaczny wpływ na zachód, gdyż uczniami Bizancjum byli również Germanie, tudzież mieszkańcy Italji. Ponieważ Serbja stała na pograniczu dwóch sfer kulturalnych t. j. zachodniej i wschodnio-bizantyńskiej, przeto pomimo przewagi elementów wschodnich — wykazuje pewne związki ze sztuką Zachodu tj. romańską. Toteż na murach niektórych cerkwi spotkały się dwa światy.

Wiele uroku posiada cały szereg miast o charakterze wybitnie orjentalnym. Z lubością i ciekawością dziecka zapuszcza się człowiek w kręte, pogmatwane, ciasne zaułki „czarsziji" Mostaru, Skoplja, czy innej palanki, gdzie omotane w workowate odzienia z twarzą okrytą kirem — snują się jak cienie żałobne — kobiety, gdzie ponad dachy wystrzelają walcowate minarety z niedostępną galeryjką na szczycie, zastruganą jak ołówek — dla muezzina, z której pięć razy dziennie w cztery strony świata płynie wołanie do Allacha i proroka Mahometa: „O! Allach! O! Allach! Ty jesteś wielki!" Tekst wprawdzie stary, melodja dowolna, zależna od fantazji i głosu muezzina, jednak wrażenie pozostawia silne. To smętne, przeciągłe, jękliwe nawoływanie muezzina łamanym, gardłowym głosem — daje znak, że nadchodzi godzina modlitwy...

Czasem spotkać można dwa światy: Zachód i Wschód, żyjące razem w zupełnej zgodzie i harmonji, n. p. w Skoplji, jak i w Sarajewie. Oddziela je tylko Wardar. Zachód ma swoje średniowieczne klasztory i wszelkiego rodzaju pomniki serbskiej i bizantyńskiej sztuki budowlanej, nowoczesne kawiarnie, hotele, kuszące wystawy — Wschód zaś — meczety,



***W kole:** Niezwykłą malowniczością odznaczają się brzegi Neretwy w Hercegowinie.*

cmentarze, kramy, fezy i domy, odwrócone od ulicy. Niezwykle malowniczy kontrast tworzą te orjentalne budynki z architekturą starych klasztorów słowiańskich.

Przez to zbratanie, skrzyżowanie, zsyntetyzowanie kulturalnych pierwiastków Zachodu i Wschodu, zyskała cywilizacja Jugosławji, a przedewszystkiem podniosło to jej niezaprzeczony, specyficzny wdzięk i urok.

Rzeczą podziwu godną jest, iż pięciowiekowe panowanie tureckie nie zdołało zmienić narodowego charakteru słowiańskiej ziemi, ale raczej to wielowiekowe zmaganie słowiańsko-tureckie zahartowało łagodną, bierną niewojowniczą naturę słowiańską. To zderzenie, ten konflikt dwu religij: chrześcijańskiej i mahometańskiej, dwu naordów: słowiańskiego i tureckiego, dwu psychik idealizmu, gloryfikacji, łez i ideologji imperjalizmu, fanatyzm — niewątpliwie wywołały wstrząs, ferment i reakcję. Zmusiło to bowiem otrzeć łzy, a ująć miecz do ręki. — Ideał wolności wstrząsnął do szpiku kości uciemiężonym narodem. Ów Sclavus Saltans wyrobił w sobie surową, silną, wściekłą, nieraz dziką i prymitywną psychikę dynarca. Junacki Serb, w którego sercu zakorzenione żarliwe przywiązanie do Ojczyzny, przez pięć wieków niewoli stał się władczy, twardy, impulsywny, dynamiczny, żądny poświęcenia dla ideału prawdy i bohaterstwa. Był on wówczas poza obrębem europejskich prądów kulturalnych. Wreszcie oswobodzony, pozostawiony sam sobie, zaczął żyć tem, co mu przekazała tradycja, nawrócił do pierwotnych,, słowiańskich form bytowania. A gdy spostrzegł, o ile wyprzedziła go przez ten czas Europa, zabrał się energicznie do pracy, budując gmach kultury narodowej na fundamentach patrjarchalnych, ludowych.

Dziś w Jugosławji — po usunięciu Turcji, tego groźnego konkurenta na Bałkanach, który przerwał żywot bogatej kultury i sztuki serbskiej, promieniującej w średniowieczu na bliższych i dalszych sąsiadów — k u l t u r a z a c h o d n i o - e u r o p e j s k a znaczy swoje piętno wszędzie tam, gdzie do niedawna jeszcze panowała tak zwana c y w i l i z a c j a b a ł k a ń s k a.

W ten sposób Bałkany stają się jakimś olbrzymim kotłem, w którym różne rasy i kultury „wygotowały się", tworząc nowy, ciekawy stop etniczny, który teraz dopiero budzi się do życia.

Danuta Derin Kadulska.

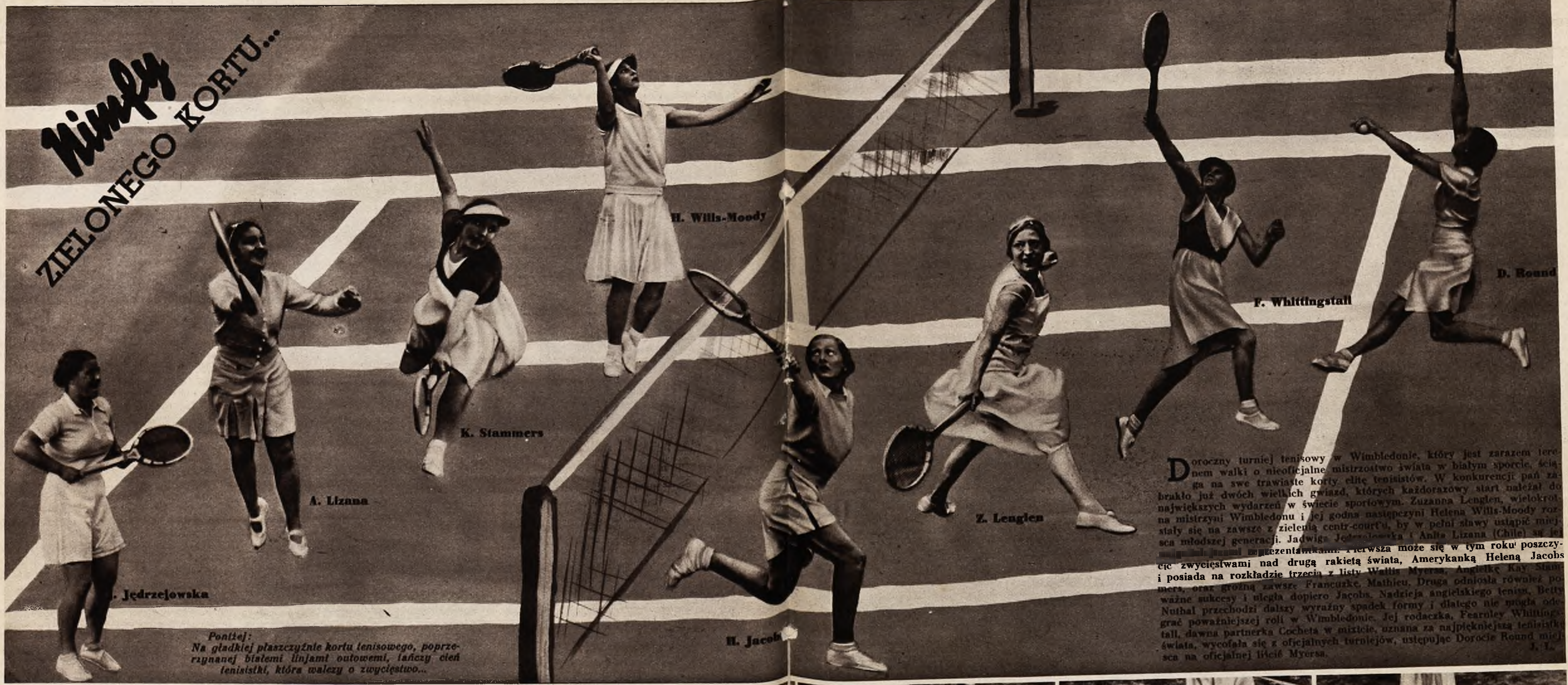


Ciekawy zabytek architektury bizantyńsko-romańskiej, to świątynia w Deczani.



Fragment pałacu cesarza Dioklecjana w Splicie.

Nimfy ZIELONEGO KORTU...



Poniżej:
Na gładkiej płaszczyźnie kortu tenisowego, poprzerzynanej białemi linjami outowemi, tańczy cień tenisistki, która walczy o zwycięstwo...

Doroczny turniej tenisowy w Wimbledonie, który jest zarazem terenem walki o nieoficjalne mistrzostwo świata w białym sporcie, ściąga na swe trawiaste korty elitę tenisistów. W konkurencji pań zabrakło już dwóch wielkich gwiazd, których każdorazowy start należał do największych wydarzeń w świecie sportowym. Zuzanna Lenglen, wielokrotna mistrzyni Wimbledonu i jej godna następczyni Helena Wills-Moody rozstały się na zawsze z zielenią centr-court'u, by w pełni sławy ustąpić miejsca młodszej generacji. Jadwiga Jędrzejowska i Anita Lizana (Chile) są jej [illegible]ezentantkami. Pierwsza może się w tym roku poszczycić zwycięstwami nad drugą rakietą świata, Amerykanką Heleną Jacobs i posiada na rozkładzie trzecią z listy Wallis Myersa, Angielkę Kay Stammers, oraz groźną zawsze Francuzkę Mathieu. Druga odniosła również poważne sukcesy i uległa dopiero Jacobs. Nadzieja angielskiego tenisa, Betty Nuthal przechodzi dalszy wyraźny spadek formy i dlatego nie mogła odegrać poważniejszej roli w Wimbledonie. Jej rodaczka, Fearnley Whittingstall, dawna partnerka Cocheta w mixcie, uznana za najpiękniejszą tenisistkę świata, wycofała się z oficjalnych turniejów, ustępując Dorocie Round miejsca na oficjalnej liście Myersa.

J. L.



ROZMOWA

Z JANEM WIKTOREM



Jan Wiktor, laureat nagrody literackiej m. Krakowa.

Gdy dowiedzieliśmy się, że jury nagrody literackiej m. Krakowa jednomyślnie przyznało nagrodę na rok bież. Janowi Wiktorowi za jego ostatnią powieść „Orka na ugorze" — wszyscy ucieszyliśmy się szczerze. Wszyscy, oczywiście bezstronni. Nie ucieszyła się zaledwie garstka zawistnych, uważających się zawsze i stale za genjuszy godnych wogóle wszystkich nagród od początku do końca świata.

Mało która nagroda literacka zyskuje tak jednomyślny prawie poklask uznania, jak ta właśnie, która przypadła Wiktorowi. Dlaczego? Sądzimy, że dlatego, iż przypadła ona pisarzowi nie reklamującemu się, cichemu, trzymającemu się w pewnej odległości od sporów i koteryj literackich, nie biorącemu w nich udziału, pisarzowi, co do którego można być pewnym, że dostał nagrodę istotnie za swe dzieło, a nie za swe znajomości, protekcje, dzięki firmie wydawniczej czy też dzięki nieporozumieniu.

Nagroda przyznana Wiktorowi jest uznaniem jego wielkiej pracy twórczej, w ciągu długich lat docenianej tylko przez nieliczne grupy jego przyjaciół i przyjaciół jego twórczości. Długie lata bowiem Wiktor pisał dla nielicznych, gdyż nie pisał „bujd" sensacyjnych, ani też nie fałszował rzeczywistości, nie liczył się z tem, czy to i tamto w jego powieści czy artykule będzie dla tych czy innych niewygodne czy nieprzyjemne. Pisał jak widział i pisał jak czuł — a odczuwa on wszystko sercem kochającem w pierwszym rzędzie przyrodę i wszystko, co z nią stoi w kontakcie, a następnie współczującem głęboko i nieraz bezkrytycznie wszelkiej nędzy i wszelkiemu poniżeniu.

Wszystkie utwory Jana Wiktora przepojone są właśnie tem sercem poety. Dlatego też krytyka więcej oschła niż odczuwająca, niejednokrotnie ujemnie zaznaczała pewną rozlewność stylu, pewne nieskrystalizowanie w powieściach Wiktora, wypływające właśnie z tej cechy pisarskiej autora „Orki na ugorze", że pisze więcej sercem ,niż zgodnie z konstrukcją, z szablonem. Ostatnio jednak — ściśle: w dwu ostatnich utworach, a więc w nagrodzonym i w poprzednio wydanych „Wierzbach nad Sekwaną", Wiktor po wielkiej walce z sobą doszedł do doskonałego opanowania, które nie przeszkadza mu iść dalej za serdecznemi odruchami, a równocześnie daje zwartość, siłę, prostotę konstrukcji powieściowej.

Jak wspomnieliśmy, Jan Wiktor przebywa w pewnej samotności. Siedzi przeważnie w Szczawnicy, gdzie najwięcej tworzy. Co pewien czas przyjeżdża do Krakowa, gdzie przy ul. Krupniczej ma romantyczną mansardę, zwaną w literackich kołach Krakowa „stryszkiem Wiktora". Tam złowiłem go i teraz, by porozmawiać trochę z laureatem Krakowa.

— Który to wywiad z wami? — śmieje się Jan Wiktor.

Doprawdy nie wiem. W ciągu wielu lat naszej przyjaźni mówiliśmy z sobą tyle już razy pod kątem wywiadu dziennikarskiego. I w czasach wielkiej prężności literackiej Krakowa — wywiad do „Gazety Literackiej", potem w Paryżu, gdzie Wiktor przybył, by studjować i zbierać materjały do „Wierzb nad Sekwaną", potem w Szczawnicy, gdzieśmy wspólnie snuli tęsknotę za Paryżem i w Krakowie, i znowu w Szczawnicy..



Jan Wiktor w towarzystwie redaktora Jana Stankiewicza w ogrodzie willi Szalay w Szczawnicy



Na lewo: Krakowska pracownia autora „Orki na ugorze".

— Cóż wam powiem — gdy i tak wszystko wiecie. Piszę — bo muszę, a jak piszę — wiecie też...

Oczywiście. Jak? — prawdę. Niesfałszowaną prawdę. Jeśli chodzi o „Orkę na ugorze", prawda ta jest tem cenniejsza, że jest prawdą o polskiej wsi współczesnej, o której tyle fałszów ostatnio ukazało się w formach reportażu czy powieści. Wiktorowska prawda o wsi nie jest ckliwą bujdą o dzieleniu zapałek na cztery części i nie jest paszkwilem na wieś, że bierna jest i pełna inercji, niemocy. Wiktor pokazał tak jak jest: nędzę wsi, ale jej bogactwo siły, ducha, jej upadki w pętach zabobonów, ale też jej promienne wzloty, tężyznę, potęgę woli, pracę umiłowaną ponad wszystko, która stwarza przyszłość.

— Co piszecie obecnie?

— Absorbuje mnie nieco praca dorywcza, reportaże, artykuły dziennikarskie. Zanim wezmę się do dalszej powieści, wykończam monografję o ukochanej mej ziemi — ziemi nowosądeckiej, o Pieninach, w których od lat siedzę i do których zawsze chętnie wracam — nawet z waszego umiłowanego Paryża!

— Cóż to będzie za monografja?

— Ukaże się ona w cyklu ozdobnych wydawnictw o Polsce, o jej cudach i skarbach w serji „Wydawnictwa Polskiego" w Poznaniu.

Jan Wiktor jak zawsze powściągliwy, trzeba z niego wyduszać „zeznania" Mówimy o jego reportażach chłopskich zarówno z terenu wsi polskiej, jak skupisk polskich zagranicą, na Śląsku zaolzańskim i opolskim.

Mówimy o jego niezwykle ciekawych studjach na temat zabobonu na wsi polskiej. — Niektóre rozdziały tej ogromnie ciekawej pracy, do której materjały zdobywa Wiktor bezpośrednio, wędrując po zapadłych kątach Polski, ukazywały się już na łamach „Kuryera Literacko-Naukowego", zyskując sobie niezwykłą poczytność.

— To będzie taka „monografja zabobonu" wiejskiego — mówi Wiktor. — Znając ją, poznać będzie można łatwiej i dostępniej wszystkie tajniki duszy chłopa... i może lepiej go zrozumieć...

— A ta wasza zamierzona powieść? — zapytuję.

— Będzie to kontynuacja „Orki na ugorze"...

Kończymy „wywiad", gdyż ciemno się robi na „stryszku Wiktora". Wychodzimy na Kraków — to wiktorowskie „Zwarjowane miasto" ..

Witold Zechenter.

Młodość dyktatorów

Młodość współczesnych dyktatorów Europy była niezwykle burzliwa i obfitowała w wiele tragicznych momentów.

Tak Mussolini, jak Hitler i Stalin wyszli z nizin społecznych i od wczesnej młodości borykali się z trudnościami, które stawiały przed nimi nieubłagane prawa życia. Mussolini był synem kowala; ojciec Stalina szył buty i uprawiał kawałek roli; ojciec Hitlera zajmował skromną posadę urzędnika celnego.

O swoich latach dziecięcych tak pisze sam Duce w „Pamiętniku z czasów wojny“: „Przed dwudziestu pięcioma laty byłem porywczem i wrażliwem dzieckiem. Kilku moich rówieśników jeszcze po dziś dzień ma na głowie ślady rzuconych przezc mnie kamieni. Jako kierujący się instynktem mały dzikus, włóczyłem się od rana do wieczora nad rzeką, rabując gniazda ptasie i owoce“.

Mimo tych skłonności mały Benito był chłopcem niezmiernie ambitnym i zdolnym a zdaniem swych pierwszych nauczycieli „zdawał się obiecywać wiele po sobie“.

Kolegjum św. Franciszka w Faenzy oraz Instytut Nauczycielski w Forlimpopoli — to dwa następne ważniejsze etapy w życiu Benita. Jako osmnastoletni młodzieniec powrócił Benito do domu rodziców z dyplomem nauczyciela i rozpoczął starania o posadę pisarza gminnego w Predappio, które jednak zakończyły się odmową przyjęcia.

Dalszym etapem karjery życiowej Mussoliniego była posada nauczyciela ludowego z pensją, wystarczającą zaledwie na liche urzymanie, a gdy wyjechał do Szwajcarji, sypiał często pod mostem, nosił cegły i wapno jako pomocnik murarski, rozwoził wino jako chłopiec sklepowy... i cierpiał nieraz głód, który skręcał mu kiszki. Mimo to, ręki o jałmużnę nie wyciągał. Pracował, uczył się, szedł naprzód! Wierzył w siebie — „Gdy walczę wierzę w swoje siły, jedynie w swoje siły“ — powie kiedyś o sobie, a wszyscy biografowie powiedzą bezstronnie: „Mussolini — to siła“.

* * *

Młodość Mussoliniego podobna jest do młodości Stalina. Stalin pochodzi z t. zw. plebsu. Jego ojciec był trochę i szewcem. Syna pragnął wykierować „na pana“ i dlatego też Józef Wissarjonowicz Dżugaszwili-Stalin znalazł się w seminarjum duchownem. Nauczycieli swoich nienawidził, podobnie jak niecierpiał swoich Mussolini. Literaturę zabronioną czytał gorliwie. W konsekwencji został wydalony z zakładu (groziło to również często Mussoliniemu, ale łzy matki go ratowały). Miał obecny dyktator Z. S. R. R. lat 19, gdy otworzył się przed nim podziemny świat rewolucyjny carskiej Rosji. „Koba“, „David“ vel „Ciżikow“ szybko stał się jednym z wybitniejszych bojowców tego świata, a tropiony, jak dziki zwierz przez „Ochranę“, zręcznie wymykał się jej szponom.

Mussolini siedział w swem życiu coś jedenaście razy w więzieniu, Stalin był zsyłany na Syberję aż sześć razy, a zawsze udało mu się stamtąd zbiec.

Ostatecznie oswobodziła go rewolucja rosyjska w r. 1917. Wyniosła ona na swych czerwonych burzliwych falach Lenina i jego ucznia...

* * *

Hitler urodził się w r. 1889 w Bawarji. Młodość miał smutną. Już jako trzynastoletni chłopiec stracił ojca, a wkrótce potem matkę.

Młody Adolf zmuszony był wystąpić z gimnazjum i wyjechać do Wiednia, gdzie przez kilka lat zarabiał na swe utrzymanie malowaniem pokoi. W czasie wielkiej wojny światowej wstąpił w szeregi armji niemieckiej i zdobył rangę feldfebla (Mussoli osiągnął w szeregach włoskich rangę kaprala).

Dziś — podobnie jak Stalin i Mussolini — trzyma Hitler w swych mocnych dłoniach ster rządów, grając w koncercie mocarstw europejskich pierwsze skrzypce, a mowom jego, które czasem budzą grozę, przysłuchują się miljony...

Mgr. Jan Kocznur.



Adolf Hitler odnosi się do dzieci nadwyraz serdecznie.

Poniżej: Dyktator Z. S. R. R. w otoczeniu prez. Komitetu Wykon. Mołotowa i komisarza obrony narodowej Woroszyłowa.



Poniżej: Twórca wielkości Włoch w otoczeniu swej rodziny. Po lewej Mussoliniego stoi jego żona, po prawej córka hr. Ciano.





Franciszek Drake jest jednym z tych, którzy zaznajomili Europę z ziemniakami.

MANNA NASZYCH CZASÓW

Z pośród roślin uprawnych, historja ziemniaka jest jedną z najciekawszych i najbarwniejszych, a zarazem najbardziej pouczających. Obecnego życia gospodarczego zupełnie sobie bez nich wyobrazić nie można, boć przecież ziemniaki stanowią główną podstawę pokarmu dla szerokich warstw ludności, zwłaszcza w Polsce. Również znaczenie ich jako materjału przetwórczego jest dziś olbrzymie.

Ziemniak, ta jedna z najważniejszych roślin uprawnych, która obecnie zajmuje równorzędne miejsce z zbożami i stanowi podstawę pożywienia we wszystkich państwach, nie tak dawno jeszcze, bo półtora wieku wstecz, był prawie zupełnie nie znany.

Do Europy dostał się z końcem XVI stulecia i długie przechodził koleje, zanim doszedł do tego znaczenia, jakie dziś posiada.

Ojczyzną ziemniaków są góry Peru (stąd zwane w Wielkopolsce „perkami"), i Chile, gdzie na długo przed Europejczykami były uprawiane przez Indjan pod nazwą „papos". Do „starego świata" przyszły dwiema drogami: jedna z nich prowadziła przez Hiszpanję. Wtedy otrzymaliśmy ziemniaki o fioletowych kwiatach i różowych bulwach. Do Włoch miały się dostać po raz pierwszy już w roku 1519, przywiezione przez niejakiego Pigafettę. Napewno wiemy, że hodował je Vallambrosa, który pisze o tem w swojej książce p. t. „Uprawa roślin w Toskanji" wydanej 1623 r. Zarazem podaje tam pod nazwą „tartouffoli" (stąd pochodzenie słowa „kartofel").

Z tych ziemniaków w roku 1587 nuncjusz papieski ofiarował jako osobliwość kilka bulw lekarzowi niemieckiemu Lorentzowi Schultzowi, który je zasadził w swoim ogrodzie pod Wrocławiem, skąd zaczęły przenikać do Polski. Ten sam nuncjusz ofiarował również kilka bulw Filipowi de Syvry w Belgji. Od niego dostał znowuż tę nową egzotyczną roślinę znany botanik Karol d'Ecluse, znany również pod zlatynizowanym nazwiskiem Clusiusa, który ją zasadził w ogrodzie cesarza Maksymiljana w Wiedniu w 1588 r. Były to pierwsze kartofle w Niemczech. Stąd dostały się do Francji.

Druga droga ziemniaków prowadziła przez Anglję. Tędy przeszły do Europy ziemniaki o bulwach białych i kwiatach białych lub lekko fioletowych. Pierwszy miał przywieźć je około roku 1565 handlarz niewolników John Hawkins z Santa Fé de Bogatu do Irlandji, ale nie znalazły wtedy uznania mimo tego, że dzisiaj stanowią niejednokrotnie jedyne źródło pokarmu tamtejszej ludności. Skutkiem tego wkrótce wyginęły zupełnie. Po raz drugi przywiózł je pod nazwą „potatoes" do Anglji żeglarz Franciszek Drake z Wirginji, gdzie je najpierw zaaklimatyzował a następnie zasadził w swoim ogrodzie w Yonghal w Irlandji. Ale i te wkrótce uległy zapomnieniu. Lepsze szczęście miały ziemniaki sprowadzone przez Waltera Raleigh z początkiem XVII wieku. Były to ziemniaki w swoim czasie zaaklimatyzowane przez Drakego w Wirginji. Walter Raleigh organizował z rozkazu królowej Elżbiety kolonje angielskie na terenie Ameryki Południowej i wtedy to spotkał się po raz pierwszy z ziemniakami, znanemi tam pod nazwą „Openhauk" w tej okolicy, jak o tem wspomina w raporcie do królowej z 27. VI 1586.

Od początku XVII wieku zaczęła się pojawiać ta nowa zamorska potrawa na dworach królewskich i książęcych. I tak 1616 r. podają ją po raz pierwszy do stołu królowej angielskiej Anny. Cena ziemniaków wtedy, jak to się z zapisków tej samej królowej dowiadujemy, wynosiła 2 szylingi za funt. We Francji pierwszy do swojej kuchni wprowadził je Ludwik XIII jako wielką osobliwość. Gorącym zwolennikiem tej nowej rośliny uprawnej był Ludwik XIV. Ten mądry król, widząc wielkie zalety ziemniaka i rozumiejąc jego wielkie znaczenie, jako pokarmu dla ubogiej ludności, wszelkiemi środkami starał się ją rozpowszechnić. Gdy nie pomagały nakazy, próbował zakazów: i tak kazał zasadzić ziemniaki, dobrze je ogrodzić i pilnować żołnierzom, sądząc, że owoc zakazany bardziej zaciekawi i prędzej się po Francji rozejdzie. Opowiadają nawet, że chcąc ziemniaki uczynić modne, nosił do ubrania przypięty kwiat ziemniaczany.

Nie tylko we Francji, ale i w innych krajach Europy rządy starały się rozpowszechnić wszelkiemi środkami ziemniaki. Zmniejszano nawet podatki lub nawet całkiem od nich zwalniano ziemie obsadzone ziemniakami.

Mimo wszystko ziemniaki wciąż jeszcze budziły odrazę. Dopiero około 1720 r. zaczęto je uprawiać w Saksonji, następnie w Alzacji i Palatynacie. I to najpierw jako pokarm dla bydła, dopiero później jako pożywienie dla ludzi. W Toskanji i Lotaryngji dopiero około roku 1760, następnie przeszły do Lyonnais.

Pierwsze ziemniaki do Polski sprowadził Schlichting z Bukowca, znany kacerz, i posadził w swoim ogrodzie koło Nowego Sącza jako osobliwą i rzadką roślinę. Nie znał nawet prawdziwego jej użytku. I tak przyjmując gości zagranicznych, podaje im do stołu kwiaty i owoce. Ma się rozumieć, że wywołał ogólną wesołość. Dopiero wtedy pouczyli go owi goście, że do jedzenia nadają się „korzenie" a nie owoce.

Jednak rozpowszechnienie ziemniaków w Polsce nie jemu zawdzięczamy, gdyż wtedy jako sprowadzone przez heretyka zostały wyklęte przez księży katolickich. Więc jedli je tylko kacerze. Po raz drugi przywozi je Jan III ze swojej wyprawy wiedeńskiej. Wtedy i u nas również podawano je tylko na dworze królewskim i na dworach wielkich panów. W Warszawie pierwszy uprawia je ogrodnik Łaba za Augusta II. Ludność jednak nauczyła się żywić ziemniakami od osadników saskich, których August III sprowadził do Polski i osadził w dominiach królewskich. Rozpowszechnianie mimo tego szło powoli, gdyż Polacy brzydzili się ziemniakami i uważali je zaszkodliwe dla zdrowia. Jeszcze w 1783 r. X. Ładowski w swojej „Historji Naturalnej Królestwa Polskiego" wspomina o ziemniakach jako o potrawie, którą nie każdy żołądek znieść potrafi. Przypisywano im również pewne własności. U tego samego autora znajdujemy, że „kartofel albo jabłko ziemne mnoży krew i sposobność do sprawy małżeńskiej daje".

Z końcem XVIII wieku we wszystkich krajach rządy starają się wszelkiemi sposobami wprowadzić uprawę ziemniaków i rozpowszechnić je. Jednym z największych propagatorów nowej rośliny był sławny chemik francuski Permencier, żyjący za czasów rewolucji francuskiej. On to przez całe swoje życie wszelkiemi sposobami zachęcał i przekonywał ludzi do ziemniaków. A więc uprawiał i hodował nowe odmiany. Nawet żywił się podobno prawie wyłącznie niemi i wymyślił kilkaset sposobów przyrządzania kartofli. Spotkał się jednak tylko z niechęcią. Gdy na zgromadzeniu ludowym chciano mu przyznać zaszczytną posadę, ktoś krzyknął:

„Nie dawajcie mu jej, bo nas ziemniakami potruje".

W Niemczech minister von Schlabrendorf zmuszał ludność do uprawy ziemniaków przy pomocy wojska.

Podobnie w Rosji Katarzyna Wielka nakazywała uprawę, wywołując wielkie bunty chłopstwa.

Dopiero straszny głód, jaki zapanował w całej Europie wyniszczonej przez rewolucję, w czasie blokady naszego kontynentu za Napoleona zmusił ludność do zwrócenia uwagi na ziemniaki, które od tego czasu stały się powszechnym środkiem żywności.

Jednakże ziemniak taki, jakim go dziś znamy i uprawiamy różni się zasadniczo od swego dzikiego przodka — Solanum tuberosum z Chili i Peru. Mimo to powracamy do tych dzikich przodków nieraz. I tak gdy sucha zgnilizna Phitoftora infestans zniszczyła w 1844 r. prawie zupełnie uprawy w Europie i w Ameryce Północnej, Goodrich przywiózł nowe odmiany z Ameryki Południowej. Również dzisiaj szukając odmian odpornych na raka ziemniaczanego lub choroby wirusowe powodujące kędzierzawkę liści sprowadzamy pierwotne odmiany amerykańskie.

Inż. H. Popławska.

SPACER WE DWOJE... →
FOT. Dr P. WOLFF.



PRZEBÓJ KRAKOWSKIEJ FALI

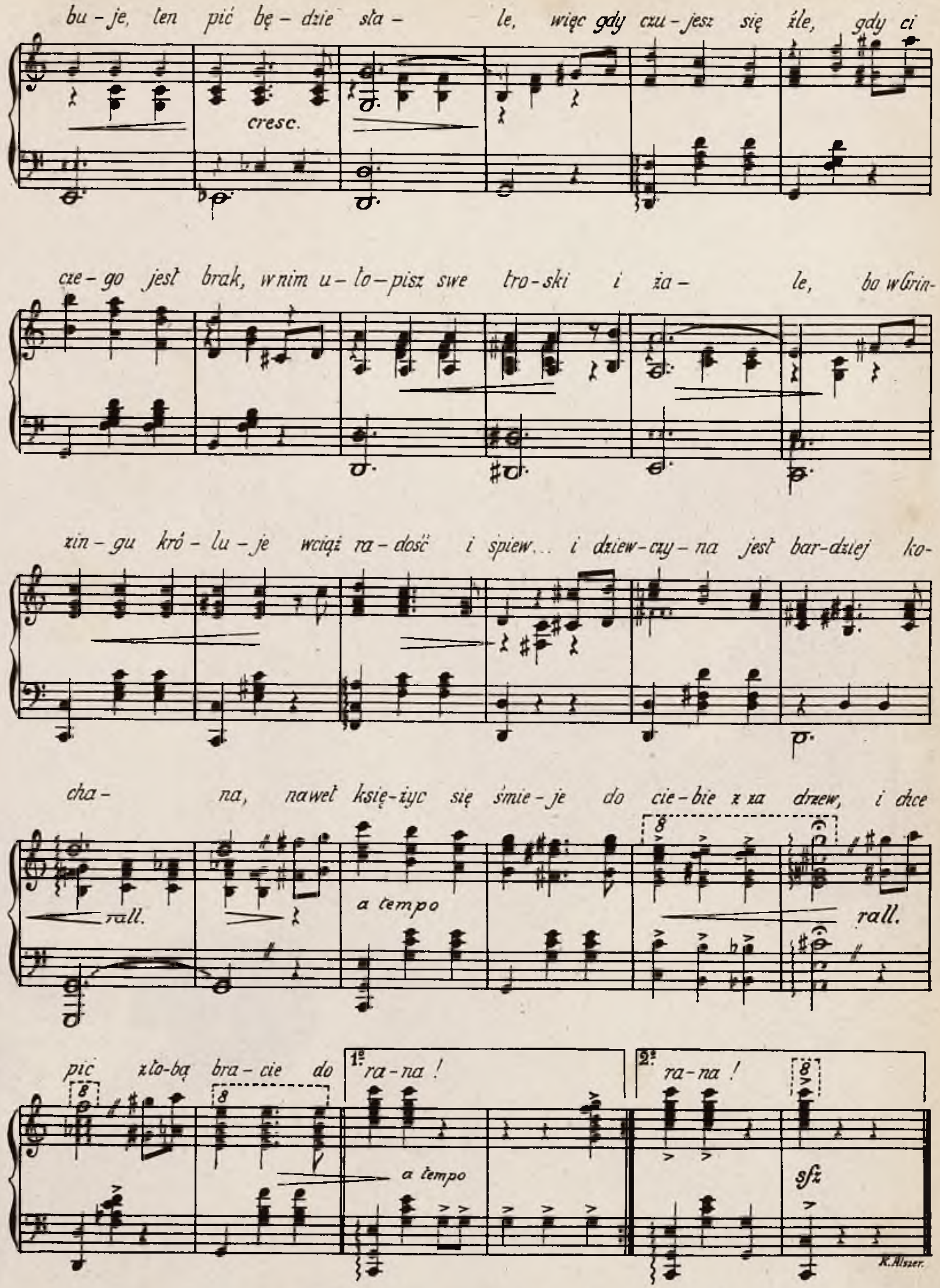
„Bo wino w Grinzingu"

Walc z operetki radjowej „Przygoda w Grinzingu"

Słowa:
WŁ. KRZEMIŃSKIEGO.

Muzyka:
ADAMA LENCZOWSKIEGO.







KAPITAN „FAI-TSI-LONGU"

ODCINEK 6.

Napisał H. WILDE POWIEŚĆ Tłum. JULJA RYLSKA

ILUSTR. AL. ŻMUDA

Komory w spodzie okrętu już otwarły luki na przyjęcie ładunku naszej herbaty. Na końcu tylnego pokładu natknęliśmy się wreszcie na kapitana.

— A tu, masz mego bydlaka-kapitana — rzekł Harcourt. — Nie rozumie ani słowa po francusku. Nie potrzebujesz krępować się przy nim.

Zobaczyłem przed sobą niedużego, bardzo grubego człowieka, o czerwonej, nabrzmiałej twarzy, wyglądającej z pod rudej, przypruszonej siwizną czupryny. Oczy, niezdecydowanego koloru, miały spojrzenie twarde i złe. Zwrócił się do Harcourta, rzucając ostrym tonem pytania w sprawie herbaty, którą miano ładować. Harcorut odpowiedział mu tym samym tonem. — „Cacane musi być życie na tym okręcie — niema co!" — pomyślałem. Nagle kapitan wskazał na mnie bez ceremonji, cybuszkiem swej fajki. Harcourt dał mu wyjaśnienia co do mojej osoby. Nie dosłuchawszy ich do końca, kapitan zamruczał coś niewyraźnie i odwrócił się do nas plecyma. Był to jego zwykły sposób przyjmowania ludzi. Cieszyło go to, ilekroć przy pierwszem zaraz zetknięciu mógł obrazić kogoś i wogóle zamanifestować odrazu pogardę, jaką żywił dla bliźnich. Chyba, że w takich okolicznościach gburowata natura jego wzięła górę wtedy wyrzucał z ust strumień haniebnych słów i plugawych przekleństw.

Po chwili powrócił do nas i jął wypytywać o coś mego przyjaciela. Mówił chrapliwym, przerywanym głosem; miało się wrażenie, że każdem słowem ma ochotę ugryźć. Poczem zniknął w kabinie.

Tak, zaiste, było to wstrętne indywidum! I pomyśleć, że potwór ten był kiedyś młodym człowiekiem! Bo z trudnością tylko można było wyobrazić sobie podobną istotę, owianą czarem młodości — żywej, gorącej, pełnej nadziei młodości... Czyż ta masa tłustego cielska mogła żywić kiedykolwiek jakieś nadzieje? Czy mogła przeżywać dzisiaj jakieś piękne wspomnienia? Czyż jakiś szlachetny poryw zdołał poruszyć ją kiedyś, w przeszłości? Dziś nienawidził wszystko: życie swoje, ludzi i tę wieczną wędrówkę po chińskich morzach. Nie zdołał nigdy wybić się: wszystko, do czego doszedł, to dowództwo na tym Fai-tsi-longu! Przeszłość jego musiała kryć w sobie ohydne wspomnienia: brudne sprawki — oszustwa przemytnicze w portach chińskich — zwierzęce znęcanie się nad ludźmi... Bo wszystko to malowało się na jego podłej, okrutnej i bezwstydnej gębie. Nie, taki człowiek nie musiał chyba nigdy być młodym!

— Jakżeż ty możesz wytrzymać z tem paskustwem? — zapytałem mego przyjaciela.

— Trzeba zakosztować wszystkiego — odparł Harcourt. — To należy do gry, która się życiem nazywa. To bydle nie może mnie znosić. Wie, że pogardzam nim. Okazuję mu to zresztą aż nadto wyraźnie... Ale nikt nie godzi się służyć pod nim. Nie mógł znaleźć amatora na zastępcę komendanta na tym okręcie. Dzikie sceny są na porządku dziennym między nami — ale wkońcu poskramiam go zawsze. To jest bardzo „ekscytujące" — jak powiadają Anglicy. — Ale w tym doskonałym bydlaku, kryje się dobry marynarz. Na wylot zna chińskie wody — i o ile mi się zdaje, Sundajskie również... Jest znienawidzony przez wszystkich. Bo powiedz mi, jakie ten człowiek może mieć przyjemności, poza rozkoszą znęcania się nad drugimi? Zazwyczaj widuje się go samotnie, pykającego z fajki, z miną filozofa, który medytuje nad absolutem wszechbytu. Prawdopodobnie, w chwilach tych, przeżuwa całą pustkę i monotonję swego istnienia — i tę pogardę, którą wie, że żywią dla niego wszyscy wokoło — i kombinuje jakąś złośliwość, lub nowe brudne oszustwo. Ten człowiek jest zły do szpiku kości!

— Piękny portret — niema co! — rzekłem. — W gruncie więc, jest to człowiek zły, podły — który stara się mścić na ludziach za pogardę i nienawiść, którą złość jego i zepsucie wywołuje z ich strony.

— Tak — zgodził się Harcourt. — Ale cóż na to poradzić? W jego pojęciu społeczność ludzka ponosi odpowiedzialność za tę pogardę, którą budzi wokoło... Ale cóż nas obchodzą tajniki duszy takiego osobnika? Dla mnie jest to bydle chytre i okrutne. Bawi mnie to, ilekroć ujarzmię wybuchy jego wściekłości, albo pomieszam jego chytre szyki.

— Dziwny z ciebie chłopak! — skonstatowałem.

W tej chwili poczęto ładować skrzynie z herbatą; my zaś nadzorując ładunku, rozmawialiśmy, wspominając przeszłość. O Boże! Jakże dziwnym był dla mnie ten widok: Harcourt, w roli oficera handlowej marynarki przybrzeżnej, pochylony nad balustradą tej niechlujnej krypy! Mimowoli stawał mi przed oczyma ten sam Harcourt, opięty w długi granatowy tużurek oficera marynarki wojskowej, a na rękawie świecą mu trzy naszywki złote... Takim pożegnałem go półtora roku temu! Nie mogłem nadziwić się dosyć cudacznym kolejom losu...

Wokoło nas kręcili się boso i w milczeniu ludzie załogi. Jedna w drugą gęby należące do rasy mieszkańców tych wybrzeży. Znałem tę rasę na tyle, by móc zdać sobie sprawę, że ludzie ci nie byli wykwitem uczciwości i cnoty...

— A otóż i piękny nasz pan Martigues! — rzekł nagle Harcourt.

Rzeczywiście, z łodzi, którą podjeżdżał pod okręt, ajent machał ku nam uprzejmie ręką, na przywitanie. Za chwilę wychodził już po drabince na pokład. Ukazał się również kapitan — tak samo uprzejmy, jak na moje przybycie... Faktury okazały się w porządku, więc we trójkę Harcourt, Martigues i ja ruszyliśmy zjeść obiad na ląd.

Kiedy oddalaliśmy się, przypatrywałem się z łodzi Fai-tsi-longowi. W lekkiej mgle, unoszącej się ponad

szerokiem rozlewiskiem ujścia rzeki, zacierały się stopniowo kontury statku. I w tej chwili sylweta starego parowca — jego antypatyczny kapitan — załoga podobna do bandy opryszków — wszystko sprzęgło się razem i zrodziło we mnie uczucie tak przykre, iż wyłoniło się zeń, jakby przeczucie czegoś złego — niejasne wprawdzie i nieuchwytne jeszcze... Niemniej, aż do obiadu czułem się całkiem nieswój.

VII.

— Teraz zna pan już, mniejwięcej dokładnie, wszystkich aktorów tej tragedji. Od tej chwili, wypadki poczną się toczyć z niebywałą szybkością.

Fai-tsi-long miał wyruszyć nazajutrz około piątej nad ranem, z nastaniem przypływu.

— Harcourt — odezwałem się — zostanę z tobą na okręcie, do jutra rana. Będziemy mogli dłużej być razem...

— Chciałem właśnie prosić cię o to — odparł. — W każdym razie, za dwa lub trzy tygodnie najdalej, zatrzymamy się tu, wracając z Nankingu. Do tego czasu, będę już miał pewne wiadomości... Wiesz, to, o czem wspominałem ci...

Harcourt pożegnał się z Martigues — zaczynał go mieć już rzetelnie dosyć — i podążyliśmy w stronę okrętu przez zatłoczone ulice. Bo któraż przyzwoita ulica chińska nie jest zatłoczona wieczorem! Wie pan, jak to wygląda: gapie — wędrowni kucharze — bogaci kupcy, niesieni w lektykachh, odwiedzający się nawzajem wieczorną porą. Wszędzie pełno ruchu i krzyku. Aż dziwnem jest, to wieczne podniecenie, ten niesłychany zgiełk, wśród chińskiego tłumu.

Na brzegu ludzie z załogi Fai-tsi-longu czekali na nas z łodzią. Na długiem, błotnistem wybrzeżu było pusto i ciemno, bo w tem miejscu niewiele kręciło się statków chińskich. Wśród mroku, widziałem przepisowe światła, na Fai-tsi-longu, zakotwiczony daleko na wodzie, a przy brzegu stał rząd chińskich dżonek na linach; niezliczone ich okienka, oklejone papierowemi szybkami, rozsiewały blade, świetliste plamki na jednolitem tle nocy.

— Wsiadaj — rzekł do mnie Harcourt.

Wskoczyłem do łodzi; myślałem, że Harcourt zamierzał właśnie uczynić to samo, kiedy, oglądnąwszy się, zobaczyłem w chwiejnem świetle latarni, stojącej jeszcze na brzegu, że cień jakiś pojawił się przy nim. Posłyszałem nad sobą szept i nagle Harcourt wydał okrzyk. Schylił się po latarnię i podniósł ją w górę. Znowu szept. — Słyszałem, że Harcourt mówił po francusku.

— Nie rozumiem — zapewniam panią — nie rozumiem...

— A co tam? — spytałem zaciekawiony.

— Rancé — wyłaź na brzeg! — szepnął w odpowiedzi Harcourt, pochylając sicę nad wodą.

Wyskoczyłem więc żywo zpowrotem na brzeg i w świetle latarni zobaczyłem młodą i piękną kobietę — bezwzględnie Europejkę — i ubraną po europejsku. Trzymała się oburącz ramienia mego przyjaciela, a na twarzy jej malowało się przerażenie.

— Nie rozumiem, doprawdy, co ta pani — czy panna? — mówi, chociaż mówi po francusku... — rzekł do mnie Harcourt. — Czy pani jest rzeczywiście Francuską? — zwrócił się do niej.

Odpowiedziała twierdząco, skinieniem głowy, nie puszczając ciągle jego ramienia.

— Niechże się pani uspokoi — proszę się nie lękać! — począł mówić, tym dobrym i ciepłym tonem, który umiał nadać swemu głosowi. — Jakikolwiek powód sprowadza panią tutaj — zapewniam, że jest pani zupełnie bezpieczną, przy mnie i moim przyjacielu. Czegóż się pani tak lęka? — I jak się to dzieje, że znalazła się pani tutaj, sama, i o tej porze? — To nie bardzo bezpiecznie...



Schylił się po latarnię i podniósł ją w górę.

Kobieta oglądnęła się za siebie w ciemność z przerażeniem i wyjąkała coś niezrozumiałego. Przypatrzywszy się jej lepiej, odrzuciłem pierwszą moją myśl. Podejrzewałem bowiem, że była to jakaś bezczelna awanturnica, grająca komedję strachu, aby usidlić jednego z nas. Trwoga jej nie była udaną. Była piękna — a podniecenie, w jakiem widzieliśmy ją, czyniło ją jeszcze piękniejszą. Byliśmy młodzi obaj...

Zachodziłem w głowę, kim do djabła mogła być ta kobieta! Za krótko bawiłem w Swatow, by poznać całą europejską kolonję tamtejszą. Wreszcie nieznajoma zdołała przemówić:

— Powiedziano mi — zaczęła drżącym głosem — że okręt jakiś odjeżdża jutro... To pewnie okręt pański... Odjeżdżacie — naprawdę?... Panie błagam, niech mi pan powie, czy to wy odjeżdżacie?

— Możliwem jest, że są jeszcze inne okręty, które wyruszą stąd jutro, o świcie. My odjeżdżamy rzeczywiście.

— Proszę pana — zaczęła trwożnie — proszę mi nie odmawiać... i zabrać mnie ze sobą... błagam!... Jestem Francuzką, tak, jak pan — z jednej ziemi jesteśmy... Niech mnie pan nie zostawia tu!

Harcourt spojrzał na to śliczne stworzenie, czepiające się jego ramienia — potem popatrzył na mnie, zdumiony i zakłopotany — i zwrócił znów oczy na młodą kobietę.

— Okręt nasz nie bierze pasażerów... Nie mielibyśmy gdzie umieścić pani...

— Gdziekolwiek — wszędzie będzie mi dobrze — szeptała gorączkowo. Byleby stąd — byleby mnie pan zawiózł na okręt — i zaraz...

Harcourt począł jej przedstawiać, jak prymitywne i niewygodne pomieszczenie miałaby na statku.

— A cóż mi to szkodzi! — O, gdyby pan wiedział, jak mi to obojętne! — Najstraszniejsze miejsce na ziemi, to Swatow! Byle stąd! — Błagam, jeżeli to od pana zależy — błagam! Niech pan będzie ludzki — niech mnie pan zabierze zaraz... tą łodzią... ukryje mnie... Lada moment mogą tu nadejść... i zabrać mnie...

— Zabrać panią? — Jest pani przecież Europejką — wolną kobietą.

— Nie — przerwała mu.

— Niechże się przynajmniej dowiem... to jest konieczne... — począł nalegać. — To przecież odpowiedzialność gruba... Niechże pani raczy wytłomaczyć mi...

— Dobrze — powiem wszystko, co pan chce — ale jak będziemy daleko... na wodzie... Każda minuta, to zguba dla mnie...

— Jest przecież konsul tu.

— Tak — ale nie dla mnie! — jęknęła. — Nie dla mnie! — Proszę pana, jestem Francuzką — rodaczką pana — niech się pan zlituje!

Była prawdziwie wzruszająca. Piękne jej czarne oczy były pełne tragicznego bolu. Harcourt wahał się jeszcze chwilę... W dole, na wodzie, azjatycka załoga czekała w łodzi — bez ruchu, obojętna na wszystko. Młoda kobieta stała wciąż uczepiona do ramienia Harcourta, a ten patrzył na nią. Widziałem, że podziwia jej piękność — że to namiętne błaganie poruszało do głębi jego duszę... Byłem również wzruszony — może mi pan wierzyć!

Nagle kobieta zrobiła ruch, jakby chciała uklęknąć przed nim. Harcourt schylił się żywo i podniósł ją.

— Nie, pani! — Tylko nie to! — rzekł prawie ze złością.

Podniósłszy ją, ujàwszy ją wpół i kiedy patrzyłem tak na nich, jakby przytulonych do siebie, doznałem nagle dziwnego wrażenia... Błyskawicą przeleciało mi przez myśl: „Jakże oni są dobrze dobrani“! — Ale on już wypuścił ją z ramion i odsunął się o krok od niej.

— Niechże będzie — wyrzekł. — Rancé, skacz pierwszy i pomóż pani wsiąść.

Ześliznąłem się więc znowu do łodzi, on zaś uniósł kobietę i podał mi ją. Zaciężyła mi chwilę w ramionach — poczułem, że drży cała. Musiałem sam posadzić ją na ławce w łodzi, bo nie byłaby zdołała dojść do niej. Poczem skolei Harcourt skoczył do łodzi.

— Odbijaj! — wydał po katońsku rozkaz marynarzom.

(ciąg dalszy nastąpi).

ŻYCIE
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

ŚLUB P. KRYSTYNY DIENSTL



W ub. sobotę odbył się w Warszawie w kaplicy Matki Boskiej kościoła św. Krzyża ślub p. Krystyny Dienstl, mgr. filozofji i absolwentki Wyższej Szkoły Dziennikarskiej w Warszawie, a córki współpracownika „IKC" płk. M. Dienstl-Dąbrowy, z p. Zygmuntem Kaczyńskim, przemysłowcem. P. Krystynę Dienstl znają Czytelnicy naszego Magazynu z kilku artykułów, w których opisywała życie artystyczne stolicy.

LAUREAT NAGRODY P. A. U.



Dr. Tadeusz Makowiecki, współpracownik programowy Polskiego Radja, otrzymał doroczną nagrodę Polskiej Akademji Umiejętności w dziedzinie historji i literatury za świetną monografję o Wyspiańskim jako poecie i malarzu. Praca ta ukazała się ubiegłej jesieni w wydaniu książkowem. Dr. T. Makowiecki jest znanym prelegentem radjowym oraz autorem licznych prac literackich.

ŚLUB P. BARBARY KOLSZEWSKIEJ



W dniu 16 bm. pobłogosławił w kościele św. Florjana na Jeżycach w Poznaniu ks. inf. Kłos, przyjaciel ojca Panny Młodej, związek małżeński p. Barbary Kolszewskiej, córki mec. dr. Konradostwa Kolszewskich z p. dr. Janem Alkiewiczem, lekarzem z Poznania. J. Świątobliwość Ojciec Święty Pius XI, Pan Prezydent Rzeczypospolitej, J. Em. ks. kardynał Prymas Hlond nadesłali Młodej Parze serdeczne życzenia.

NA POKAZIE PSÓW

Poniżej: Prawdziwą atrakcją towarzyską letniego sezonu w Katowicach był tradycyjnie odbywający się w tym okresie „Pokaz psów". W imprezie wzięło udział ponad 50 rasowych zwierząt, a największem powodzeniem cieszyła się konkurencja „Pani i jej pies". Pierwszą nagrodę zdobyła p. min. Margot Grodziecka z Katowic, która przedstawiła licznie zgromadzonej publiczności swego ulubieńca, charta syberyjskiego „Lorda" (na zdjęciu).



CONCOURS D'ÉLÉGANCE



Powyżej:
Niedawno temu odbył się w Paryżu konkurs elegancji pojazdów mechanicznych, w którym wzięły udział niemal wszystkie znane firmy samochodowe świata. W konkurencji silnych maszyn (ponad 3 lit.) pierwszą nagrodę uzyskał wspaniały kabrjolet marki „Hispano-Suiza", zaś z samochodów o małym litrażu „Fiat", który widzimy na naszem zdjęciu wraz z uroczą właścicielką. Miss France.

Fot. Trampus — Paryż.

W OCZEKIWANIU ZWYCIĘZCY

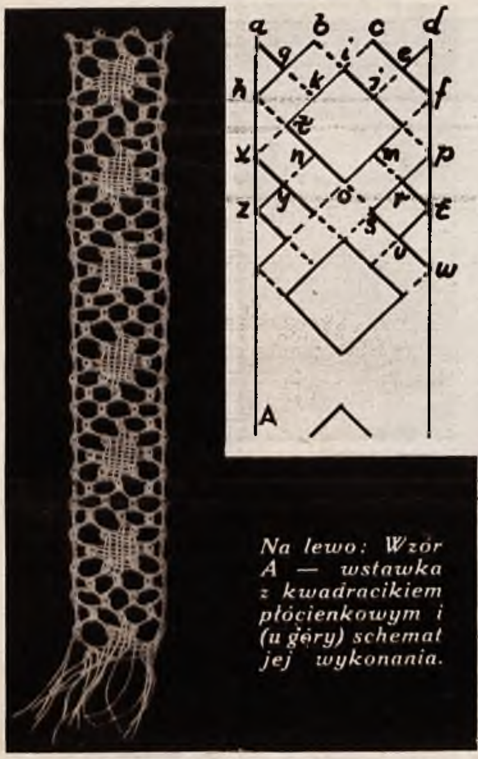
Poniżej: Zwycięstwo znanego niemieckiego boksera Maxa Schmelinga nad murzynem Joe Luisem, które utorowało mu drogę do powtórnego zdobycia mistrzostwa świata, zostało entuzjastycznie przyjęte przez cały naród niemiecki. W przygotowaniach do godnego powitania zwycięzcy brała żywy udział małżonka Schmelinga, Anny Ondra, urocza gwiazda filmowa, którą widzimy na zdjęciu w towarzystwie teściowej z portretem męża. *Fot. Presse Photo — Berlin.*



M. M. DUDREWICZOWA

Koronki klockowe

IV.



Na lewo: Wzór A — wstawka z kwadracikiem płócienkowym i (u góry) schemat jej wykonania.

Wstaweczka z kwadracikiem płócienkowym na 8 parek.

Na czterech szpilkach — jak schemat Wzór A — w punktach a — b — c — d zawieszamy po 2 parki. Każdy przerobiony punkt wyrównać i wyciągnąć. Lewe parki odkładamy na tył poduszki, a prawe pozostawiamy zwieszające się na przodzie.

Na rysunku schematycznym tej wstaweczki widzimy w środku kwadraty, a po bokach dziurki. Aby wykonać kwadracik, musimy zrobić najpierw dziurki po obu stronach. Z tego otrzymamy parki do roboty kwadracika.

Prawa parka z punktu — c i lewa z punktu — d, stworzą punkt — e. Parki z punktów e—d stworzą punkt — f. Tak uzyskałyśmy na kwadrat z prawej strony 3 parki z punktów c — e — f.

Robimy to samo z lewej strony: punkty a — b dadzą punkt — g, zaś a — g stworzą punkt — h. Tak jesteśmy z lewej strony u brzegu i mamy na kwadrat także i z lewej strony 3 parki, z punktów b — g — h.

Zaczynamy klockować kwadracik. W środku kwadratu będzie gładkie płócienko, więc wewnątrz kwadracika żadna parka kręcić się nie będzie, ale zewnątrz kwadratu wszystkie sześć parek kręcimy po dwa razy, bo one będą tworzyły dziurki. Parki z punktów b — c kręcimy i przerabiamy punkt — i. Po przerobieniu po szpilce, lewą parkę odpinamy, a do prawej dobieramy parkę z punktu — e, którą kręcimy i tworzymy punkt — j. Klockujemy dalej gładko na lewo, przerabiamy więc obydwie parki w kwadracie i dobieramy parkę z punktu — g, którą kręcimy i tworzymy punkt k. Wracamy na prawo, klockując gładkie płócienko środkiem kwadracika aż do prawego brzegu. Tutaj dobieramy parkę z punktu — f, którą kręcimy i tworzymy punkt l. Po przerobieniu po szpilce wracamy na lewo, przerabiając wszystkie parki w kwadracie i dobieramy parkę z punktu — h, którą kręcimy i tworzymy punkt — ł.

W tym rządku, który wypada w najszerszym miejscu kwadracika, pamiętać należy, że odkładamy już parki skrajne z punktów — l i ł na boki, do roboty dziurek. Teraz kończymy kwadrat. Z punktu — ł klockujemy na prawo do punktu — m i tutaj po przerobieniu po szpilce znów odkładamy parkę na prawo dla dziurek. Zostało nam w kwadracie już tylko 2 parki, któremi tworzymy punkt — o. Po jego przerobieniu odkładamy prawą parkę na prawo dla dziurek, a lewą parkę na lewo, także do roboty dziurek.

Mamy teraz przygotowane z prawej strony dla dziurek 3 parki z punktów o — m — l, oraz z lewej także 3 parki z punktów ł — n — o.

Teraz następuje robota dziurek z prawej i lewej strony, przyczem schodzi się z góry po linjach skośnych do brzegów. Gdy dziurki są gotowe, wykonuje się następny kwadracik, wedle przeprowadzonego opisu i tak naprzemian aż do zakończenia potrzebnej ilości wstaweczki.

Koronka z ząbkiem i kwadracikiem płócienkowym na 11 parek.

Koronka ta jest zastosowana do przerobionej powyżej wstaweczki. Pomiędzy ząbkam koronki wykonywane są dwa warkoczyki, każdy robiony z dwóch parek. Wedle schematu Wzór B zawieszamy w punktach a — b — c — d — e po jednej parce na każdej szpilce. Na dalszych szpilkach, w punktach f — g — h wieszamy po dwie parki. Koronkę tę robimy częściami, a to osobno kwadraty, a osobno ząbki.



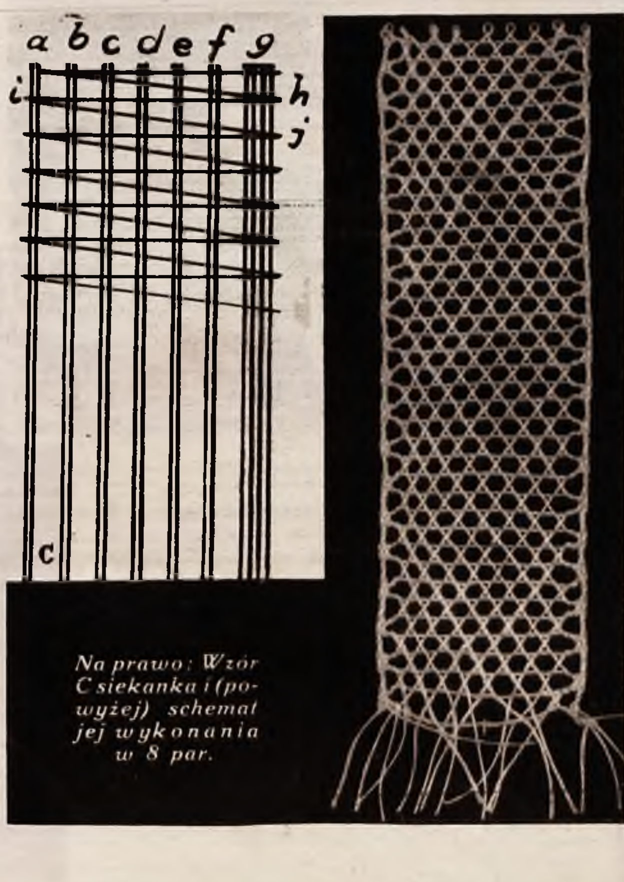
Na prawo: Wzór B — koronka z kwadracikami i ząbkami płócienkowemi, oraz (powyżej) schemat jej wykonania.

Zaznajomimy się w niej z nowym ściegiem, t. zw. warkoczykowym. Do splatania warkoczyka potrzebne są dwie parki. Ścieg warkoczykowy różni się od zasadniczego ściegu klockowego, czyli od całego przerobienia, tem, że brakuje mu pierwszego punktu zasadniczego ściegu. Jak wiemy, zasadniczy ścieg ma trzy punkty, a warkoczykowy ma tylko dwa punkty, to jest drugi i trzeci. Brak mu więc punktu pierwszego. Warkoczyk plecie się tak długo bez wbijania szpilek, dopóki nie nakryje przeznaczonej dla siebie linji we wzorze.

Na naszym wzorze zaczynamy warkoczyk w punkcie — h, w którym mamy dwie parki. Pierwszy ścieg robimy całem przerobieniem, ale już następny klockujemy w ten sposób, że obydwie parki w obydwu rękach kręcimy raz na lewo, a następnie przekładamy środkowy klocek z lewej ręki za środkowy klocek w prawej ręce. Żadnej szpilki nie wbijamy, tylko powtarzamy dalej to samo. A więc kręcimy znowu raz na lewo obydwie parki i przemieniamy środkowy klocek w lewej ręce na prawo za środkowy klocek w prawej ręce.

Na rysunku we Wzorze B z punktu — h do — r trzeba będzie ten ścieg powtórzyć ze cztery razy. Warkoczyk plecie się dosyć ciasno, wyciągając parki dobrze na boki. — Taki sam warkoczyk robimy między punktami g — s. Następnie obydwa warkoczyki odpina się dużą szpilką na bok, aby zająć się kwadracikiem w środku.

Zaczynamy od punktu — f, gdzie wiszą dwie parki. Klockujemy gładko, ciągle posuwając się na lewo, aż do punktu — b. Wbijamy nową szpilkę tuż przy dawnej szpilce w tym punkcie i wracamy zpowrotem do punktu — i. Tutaj trzeba pamiętać, że prawa parka z punktu — f jest już odłożona do roboty ząbka. Po przerobieniu punktu — i, odkładamy



Na prawo: Wzór C siekanka i (powyżej) schemat jej wykonania w 8 par.

także prawą parkę dla ząbka, a klockujemy na lewo, środkiem kwadratu do punktu — j. Po jego przerobieniu, odkładamy lewą parkę do roboty dziurek. Tak mamy dla dziurek już dwie parki, a to z punktów b — j.

Przerabiamy teraz pozostałe w kwadracie dwie parki, tworząc punkt — k. Stąd po przerobieniu po szpilce, odkładamy lewą parkę, jako trzecią dla dziurek, a prawą jako trzecią dla ząbka. Zakończyłyśmy w ten sposób połówkę kwadratu, od którego rozpoczyna się nasza koronka.

Robimy następnie dziurki, zaczynając od punktów a — b, co tworzy punkt — l na brzegu. Następnie bierzemy parki l — j, tworząc punkt — ł, a z parek l — ł tworzymy punkt — m. Schodzimy teraz skośnie po linji od punktu — k do punktu — p tworząc po rodze punkty n — o.

Obecnie mamy wyklockowane warkoczyki, pół kwaracika i dziurki. Przystępujemy do roboty ząbka.

Bierzemy do rąk parki prawego warkoczyka i wbijamy pomiędzy nie szpilkę w punkcie — r. Po szpilce przerabiamy, prawą parkę odpinamy na bok, a lewa przerabia parki z następnego warkoczyka. Potem dobieramy parkę z punktu — f, którą kręcimy dwa razy i przerabiamy. Teraz dopiero wbijamy szpilkę w punkcie — s. Po szpilce przerobienie i klockujemy na prawo. Ale ostatnie dwie parki kręcimy po dwa razy, bo przed punktami t — w — y trzeba zrobić mereżkę.

W pierwszej połowie ząbka dobieramy parki z punktów f —i — k. Przy drugiej wyrzucamy parki z punktów x — z — ź na kwadracik.

Kwadracik ma 6 parek, trzy z prawej strony z punktów x—z—ź, a trzy z lewej ,z punktów n—o—p.

Skończywszy ząbek, robimy obydwa warkoczyki w punktach ź—ż. Warkoczyki nie powinny być za długie i raczej można zrobić krótsze, aniżeli przeciwnie.

Siekanka klockowa na 8 parek.

Jednym z najładniejszych ściegów klockowych jest siekanka. Nauczymy się jej na podstawie schematu Wzoru C. W punktach a—b—c—d—e—f zawieszamy po jednej parce na szpilkach ,a tylko w punkcie g dwie parki.

Znając dokładnie zasadniczy ścieg klockowy ,czyli całe przerobienie, składające się z trzech punktów, łatwo jest się zorjentować w nowym ściegu, zwanym siekanką.

Siekanka składa się tylko z dwu punktów, to jest drugiego i trzeciego. Pierwszego punktu nie posiada, czyli ma ścieg identyczny z warkoczykiem. Różnica pomiędzy niemi polega na tem, że warkoczyk plecie się w dół, temi samemi parkami, a ścieg siekankowy przerabia się wszerz, jedna parka za drugą, raz na lewo, drugi raz na prawo, w takim kierunku, jak ścieg płócienkowy.

Zaczynamy siekankę, biorąc do rąk dwie parki z punktu g. Kręcimy raz na lewo obydwie parki równocześnie, następnie przekładamy prawy klocek z lewej ręki za lewy klocek w prawej ręce. Przemieniamy więc środkowe klocki na prawo. I już ścieg siekanki gotowy. Teraz prawą parkę odpinamy, a do lewej dobieramy następną parkę, kręcimy raz obydwie parki na lewo i znów środkowy klocek z lewej ręki przekładamy za środkowy klocek w prawej ręce. Ale ponieważ w rękach możemy mieć ciągle po parce klocków, więc skrajny klocek z prawej ręki musi przejść do lewej ręki.

Teraz prawą parkę znowu odpinamy, a do lewej dobieramy następną parkę i tak posuwamy się ciągle na lewo aż do punktu a. Tutaj wbijamy szpilkę tuż obok dawnej szpilki, ale za szpilką całe przerobienie ,aby brzeg był silny. Lewą parkę odkładamy na górę poduszki, a do prawej dobieramy następną parkę i przerabiamy siekankę, posuwając się ciągle na prawo aż do punktu h. Przed tym punktem dobieramy prawą parkę z punktu g(którą kręcimy dwa razy, dlatego, bo między punktami g—h jest dłuższa linijka i nitki na brzegu muszą być więcej razy kręcone. Lewą parkę, którą przerabiałyśmy cały rząd siekanki, kręcimy tylko raz, przekładamy następnie na prawo jak zwykle (drugi punkt ściegu klockowego) i wbijamy szpilkę w punkt h, po szpilce robimy całe przerobienie, aby brzeg był silny.

I znów prawą parkę odrzucamy na górę poduszki, a do lewej dobieramy następną, kręcimy raz obydwie, przemieniamy środkowe klocki, ale prawy klocek z lewej ręki musi być pierwszy przełożony górą na prawo do prawej ręki i dopiero wtedy lewy klocek z prawej ręki może przejść spodem do lewej ręki. Dalej prawą parkę odkładamy, a lewą przerabiamy cały rząd siekanki aż do punktu i. Tutaj dobieramy skrajną parkę z punktu a, którą kręcimy dwa razy, przerabiamy ścieg siekanki, wbijamy szpilkę w punkt i, zaś po szpilce robimy całe przerobienie, aby tem lewa parka skrajna odrzuca się na górę poduszki, a prawa przerabia siekankę cały rząd ciągle na prawo aż do punktu j.

* * *

W każdym wzorze klockowym można zastosować do wypełniania desenia albo płócienko, albo siekankę, co kto woli. Takie i w naszym przykładzie widzimy dwa razy te same koronki i wstaweczki, raz z płócienkiem, a drugi raz z siekanką, jak to widzimy na wzorach A i B oraz D i E, które przy identycznym schemacie różnią się tylko sposobem wypełnienia kwadratów i ząbków.



Gipiura klockowa z zastosowaniem tasiemek płóciennych lub siekankowych.



Na prawo: Wzór D — wstawka jak wzór A, lecz wypełniona siekanką.



Na lewo: Wzór E — koronka jak wzór B, lecz wypełniona siekanką.

CO TAŃCZĄ:

Buczyńska i Sławska

przedstawicielki Polski na Olimpjadę Taneczną w Berlinie.



Ziuta Buczyńska w tańcu „Kaprys".
Fot. Benkow — Sztokholm.

W gorączce przygotowań przedolimpijskich żyją nietylko nasi sportowcy, o których wiele obecnie mówi się i pisze, ale również i artyści wszelkich gałęzi sztuki. Przygotowują się oni do zdobycia laurów olimpijskich w ciszy swych pracowni i kto wie, czy nie sprawią nam takich miłych niespodzianek, jak złoty medal olimpijski, zdobyty dla Polski na jednej z poprzednich Olimpjad przez przedstawiciela naszej poezji — Wierzyńskiego.

Sztuka taneczna nie jest objęta oficjalnym programem olimpijskim. Wiadomo jednakże, iż w czasie, gdy na berlińskich boiskach sportowych rozegra się wielka walka o światowy prymat w sporcie ,równocześnie zorganizowany będzie wielki Konkurs Taneczny, na który zjadą się tancerze i tancerki całego niemal świata.

Jako reprezentantki Polski wyjadą na ten Konkurs dwie zpośród najlepszych polskich tancerek, a mianowicie znana tancerka modernistyczna Ziuta Buczyńska oraz reprezentantka klasycznej choreografji, primaballerina Opery Warszawskiej — Olga Sławska.

Walka w Berlinie będzie trudna i zacięta: tembardziej interesująca, iż spotkają się tam dwa odrębne prądy — taniec klasyczny, baletowy, pielęgnowany z wielkim pietyzmem we Francji i w Rosji Sowieckiej, oraz taniec modernistyczny. Ten ostatni, którego kolebką są Niemcy, mieć będzie na Konkursie Olimpijskim potężnych przedstawicieli: tancerkę Palucca, oraz tancerza Kreuzberga, uważanych przez wiele osób za faworytów turnieju. Wiemy, iż tancerze niemieccy dochodzą ostatnio do wspaniałych wyników w uprawianym przez siebie tańcu modernistycznym, sięgając do takich frapujących tematów, jak wyrażanie tańcem satyry politycznej i t. p.

— Ciężko będzie coś wywalczyć — mówi skromnie Ziuta Buczyńska, z którą rozmawiamy na temat Konkursu — spotkamy się z wielką konkurencją. Publiczność niemiecka, a niewątpliwie i jury, nastawione na porywającą ekspresję tańca modernistycznego, będzie bardzo wymagającą. Regulamin przewiduje wykonanie tylko trzech tańców, a dwa z nich chcę koniecznie poświęcić ludowym tańcom polskim. Zaledwie więc jeden, t. j. taniec pod tytułem „Niepotrzebne dziecko" będzie miał charakter analogiczny do większości tańców, które spodziewam się zobaczyć w Berlinie...

— Nie sądzi pani — zapytuję tancerkę — iż polski taniec ludowy wywrzeć może niemniejsze wrażenie? Przecież w dużej mierze właśnie tym tańcom zawdzięcza pani swe powodzenie!

Istotnie, musimy pamiętać, iż Ziuta Buczyńska ma za sobą wiele sukcesów, zdobytych wykonywanemi przez siebie tańcami ludowemi. Przed dwoma laty na konkursie wiedeńskim otrzymała pierwszą nagrodę. Na koncercie, zorganizowanym przez Towarzystwo polsko-niemieckie w Berlinie, jak również na dwóch tegorocznych Wieczorach Tańca artystycznego w Sztokholmie zdobyła Buczyńska wielkie uznanie, tańcząc prawie wyłącznie nasze polskie krakowiaki i kujawiaki, które odtwarza z porywającym wdziękiem.

— Dużo zawdzięczam — opowiada p. Ziuta — przedewszystkiem Janinie Mieczyńskiej, do której szkoły uczęszczałam w Warszawie przez wiele lat, a która nauczyła mnie kochać i rozumieć taniec. Następnie zaś dwom szkołom niemieckim — Günter-Schule i Godlewski-Schule w Monachjum, których byłam słuchaczką.

Również i druga przedstawicielka nasza, Olga Sławska z wielką tremą opowiada o przygotowaniach na konkurs berliński:

— Tremę mam okropną, choć miałam czas oswoić się z myślą o tym wyjeździe do Berlina. Już pięć miesięcy temu dostałam z Berlina zaproszenie, a od trzech miesięcy pilnie trenuję po wiele godzin dziennie pod kierunkiem dyr. Zajlicha. Pan nie ma pojęcia, co to jest za praca, jak ciężka i odpowiedzialna. Szczęście, że ta moja trema ustępuje zawsze z chwilą wejścia na scenę... Więc może jakoś tam pójdzie!

— A jakie tańce pani przygotowuje?

— Trudny będzie wybór, bo jak pan wie, mamy bardzo ograniczony czas na taniec wobec jury. Zaledwie piętnaście minut. Nie ulega wątpliwości, że jednym a może i dwoma mymi tańcami będą tańce do muzyki Chopina. Kocham chopinowskie melodje i rozumiem je. Możliwe, że tańczyć będę Poloneza i Mazurka Chopina. Przygotowuję pozatem Walca Webera i Mazurka Szarwenki. Ostateczna decyzja nie zapadła jeszcze. Boję się o tem wszystkiem mówić — zwierza się, p. Olga z rozbrajającą szczerością — jestem wprost oszołomiona zaszczytem, jaki spotkał mnie przez reprezentowanie Polski w Berlinie, a przecież nie zdążyłam jeszcze nacieszyć się i oswoić z tytułem primaballeriny, który dzierżę zaledwie od miesiąca...

Towarzystwo Miłośników Tańca w Warszawie zorganizowało w ub. tygodniu w Teatrze Wielkim wieczór dla obu naszych olimpijskich reprezentantek. Sala była wypełniona po brzegi, a wiele osób nawet stało w przejściach wobec braku miejsca. Obie tancerki przyjmowano wprost z entuzjazmem. Brawom i bukietom kwiatów, posyłanym artystkom na scenę nie było końca.

Buczyńska i Sławska tańczyły po osiem tańców, z których po trzy wybiorą na Konkurs berliński. Zaobserwowano przytem ciekawy objaw. W repertuarze obydwu tancerek znajdywały się między innemi tańce polskie, oparte na motywach ludowych i te właśnie, nie inne, przyjęła publiczność huraganem braw. Buczyńska dostawała nawet za swego Kujawiaka brawa w czasie wykonywania tańca, za poszczególne figury.

Będzie ciekawem, jak te tańce przyjęte zostaną na obczyźnie. Kto wie, może nasz krakowiak czy kujawiak zdobędą w świecie należne sobie miejsce

Romit.



Na lewo: Olga Sławska, primabalerina Opery Warszawskiej, w tańcu przygotowanym na Olimpjadę Taneczną w Berlinie. *Fot. Dorys, Warszawa.*



„KRAKOWIAK" — w interpretacji Ziuty Buczyńskiej.

Fot. VAN DYCK — Warszawa.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA A LA COLBERT. Różne jarzyny, ładnie pokrajane lub powycinane, gotuje się, dolewając po trosze dobrego rosołu. Kiedy twardsze jarzyny trochę się podgotowały, dodaje się garstkę drobno skrajanej, poprzednio sparzonej zielonej fasolki, zielonego groszku i główek szparagowych. Na pół godziny przed wydaniem dodaje się jeszcze małą główkę kalafiora, podzieloną na różyczki. Ugotowane jarzynki zalewa się rosołem, soli i podaje z grzankami, smażonym grzybkiem lub groszkiem ptysiowym.

FASZEROWANE ŚWIEŻE OGÓRKI. Obrać średniej wielkości grubsze ogórki, ściąć z jednej strony, wydrążyć cienkim nożem i nadziać mięsem. Nadziamkę sporządza się z mielonego mięsa cielęcego lub wołowego, utartego z jajkiem z dodatkiem usmażonej na maśle cebulki i łyżeczki soku cytrynowego. Napełnione ogórki układa się na maśle w rondlu i dusi podlane rosołem. Miękkie kraje się w krążki i podaje do rosołu lub jako osobne danie z ziemniaczkami.

LINY GOTOWANE W ŚMIETANIE. Liny należy przed przyprawą sparzyć wrzącą wodą i szybko oskrobać, inaczej trudno uporać się z ich drobną łuską. Oczyszczone i wymyte, soli się, układa w rynce, podlewa 1/4 l śmietany i dusi przez 20 minut, poczem wykłada się je na półmisek a sos zaprawia się łyżeczką mąki, roztartej z żółtkiem i sokiem cytrynowym. Sosem, który powinien być dobrze zawiesisty, polewa się rybę i posypuje zieloną pietruszką i koprem. Osobno podaje się ziemniaczki z masłem.

OMLET Z KALAFIOREM (dla ozdrowieńców). Pół szklanki mleka posolić, zagotować i zasypać 3 dkg sypkiej mąki, ubić na ogniu na gładką masę. Osobno utrzeć 4 dkg masła i 2 żółtka, dodawać po trosze wystudzone ciasto, wkońcu pianę z dwóch białek i na drobno posiekany mały kalafior, poprzednio ugotowany i ostudzony. Z masy tej wysmaża się omlety i podaje posypane siekaną szynką lub parmezanem; można też, włożywszy ją do formy budyniowej, natartej masłem, gotować na parze 35—40 minut.

KURCZĘTA W SOSIE NATURALNYM. Z oczyszczonych kurcząt odciąć łebki i nóżki, które się osobno wygotowuje na rosół do podlewania duszących się kurcząt. Skrzydełka zakłada się do tyłu za grzbiet, kolanka przepycha się przez nacięcą u dołu skórkę. Do wnętrza tak przygotowanych kurcząt wkłada się łyżkę masła i pęczek zielonej pietruszki, naciera każde sokiem cytrynowym i owiązuje nitką. Spód ryneczki wykłada się cienkiemi płatkami młodej słoninki, układa na nich kurczęta i dusi pod przykryciem, dolewając w miarę potrzeby rosołem, aby się nie przypaliły. Z uduszonych kurcząt zdejmuje się nitkę, odrzuca pietruszkę i kraje w ćwiartki, które się układa w krąg na półmisku. Środek półmiska zajmuje ryż, makaron lub ragout z jarzyn. Wszystko zalewa się sosem odgotowanym z pod kurcząt. Sosu nie zagęszcza się niczem.

RAKI W ŚMIETANIE PO POLSKU. 20 wyszczotkowanych raków wrzucić do wrzątka, potrzymać minutę, a gdy trochę ostygną, wyjąć i wyrwać z każdego środkowy płatek ogonowy wraz z kiszeczką, następnie ułożyć je w rondlu na maśle, podlać skąpo wodą, posolić i dusić pod pokrywą aż poczerwienieją, potem podlać szklanką śmietany, wsypać usiekanego koperku i pietruszki, podsypać łyżeczką mąki lub tartej bułki i zagotować. Podaje się wraz z naczyniem, osłoniętem serwetą.

CHŁODZĄCY NAPÓJ Z CHLEBA, TZw. „KWAS". 50 dkg wysuszonego, dobrego chleba razowego, miele się lub trze na tarle i zalewa w kamiennem naczyniu sześciu litrami wrzącej wody. Do ostudzonego dodaje się 2 dkg drożdży, rozrobionych w ostudzonym płynie i zostawia tak na 12 godzin. Na drugi dzień przecedza się przez muszlin do słoja, dodaje 6 dkg zwykłych rodzynków, tzw. koryntek, 50 dkg cukru i sok z połówki cytryny miesza dokładnie i zostawia znów do drugiego dnia, tj. 24 godziny, poczem można go zlać do butelek, które się dobrze korkuje i zabezpiecza drutem. Przechowuje się w chłodnej piwnicy stojąco w piasku.

KONSERWA Z SUROWYCH GRZYBÓW (dla p. N. Kl z Makowa). Zupełnie świeże, drobne grzyby nie myte (!), lecz tylko na sucho wytarte z piasku, przesypuje się na misce suto solą i pozostawia w niej do drugiego dnia. Lepsze są grzybki drobniejsze, aby nie musiały być krajane, można użyć też większych, te jednak muszą być w kawałki pocięte. W następnym dniu nakłada się grzyby do słoików, sypie na wierzch jeszcze trochę soli, owiązuje pergaminem i przechowuje w suchem, chłodnem miejscu. Przed użyciem należy je opłókać z soli. Jako zaprawy do zup lub sosów użyć ich można bez płókania, nie solić już jednak wtedy potrawy. Sok, który się wytwarza na spodzie słoików, może być również użyty; zawsze trzeba pamiętać o tem, że grzyby są słone i poza tem soli nie używać do potraw. Sposób jest wypróbowany, a grzyby w ten sposób konserwowane zachowują swój aromat lepiej, niż suszone.

Szyc. Korska.

AS KUPON konkursu na najnieprawdopodobniejsze głupstwo
numer 27 z dnia 5-go lipca 1936 roku.

Ciasteczka z owocami.



W obecnej porze smażenia owoców i jagód miłą odmianą legumin będą ciasteczka kruche z konfiturami, podane w reprodukowany na zdjęciu sposób.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

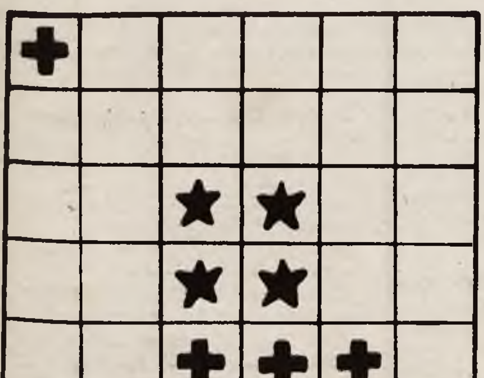
Święta rzym.-kat.	Tydzień 28 — **Lipiec** — Dni 31
Niedziela **5** Filomeny	Zupa a la Colbert. Budyń z kalafiora. Kurczęta w sosie naturalnym z makaronem. Tarteletki kruche z owocami pod galaretką. Kolacja: Zimna kaczka z mizerją.
Poniedziałek **6** Izajasza pr.	Zupa z czarnych jagód z grzankami lub merengami. Faszerowane ogórki z ryżem. Polędwica wieprzowa z duszoną kapustą. Kompot mieszany. Kolacja: Raki w śmietanie.
Wtorek **7** Pulcherji p.	Rosół "Julienne". Szparagówka z masłem. Pieczeń nerkowa z ziemniaczkami i sałatą głowiastą i ogórkową. Pierożki z wiśniami. Kolacja: Grzybki z jajami.
Środa **8** Elżbiety kr.	Zupa wiśniowa czysta z piankami. Marchewka z groszkiem zielonym z opiekankami z bułki. Befsztyki w garniturze z jarzyn. Placek drożdżowy z borówkami. Kolacja: Włoska kapusta w cieście.
Czwartek **9** Luizy, Weroniki	Zupa z świeżych grzybków z makaronem. Bukiet jarzynowy. Kalbsteki w sosie naturalnym z sałatą i ziemniaczkami. Placek kruchy z malinami. Kolacja: Kefir z ziemniaczkami.
Piatek **10** Amalji	Barszczyk na zimno z twardem jajem. Kalafior au gratin z groszkiem zielonym. Linki gotowane w śmietanie z ziemniaczkami. Drożdżowe knedelki z morelami lub wiśniami. Kolacja: Omlety z grzybkami.
Sobota **11** Pelagji	Zupa z drobiu z kaszką. Rizotto z groszkiem zielonym. Mostek cielęcy nadziewany wątróbką z sałatą i ziemniaczkami. Kompot z wiśni. Kolacja: Kalafior i fasolka szparagowa z masłem.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

KWADRATY I SZEŚCIANY.

Proponujemy Czytelnikom znalezienie dwóch różnych liczb takich, by suma ich kwadratów równała się liczbie sześciennej, a suma ich sześcianów równała się kwadratowi.

GWIAZDY I KRZYŻE.

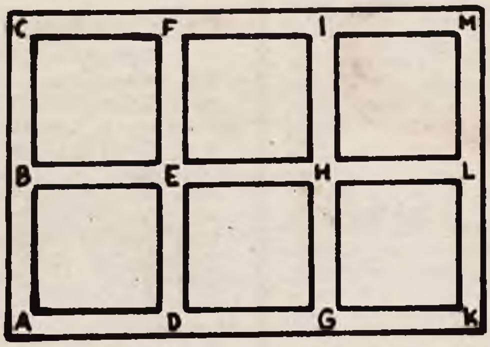


Proponujemy czytelnikom rozcięcie kwadratu wzdłuż linij na cztery części w ten sposób, aby wszystkie cztery części były dokładnie tego samego kształtu i powierzchni, oraz żeby każda część zawierała jedną gwiazdę i jeden krzyż.

KOLARSKI WYŚCIG.

Dwóch kolarzy rozpoczyna wyścig na zamkniętym torze. Szmidt robi jedno okrążenie w sześciu minutach, a Szwarc w czterech. Po ilu min. Szwarc dogonił Szmidta?

SPRYTNY DOZORCA.



Pewien dozorca musiał co noc obchodzić należące do jego dzielnicy 17 ulic o tejsamej długości. Zależało mu oczywiście na jaknajkrótszej drodze, jednak jasnem jest, że niektóre ulice musiał z konieczności przechodzić po raz drugi. Ile metrów musi conajmniej wynosić całkowite jednorazowe obchodzenie, jeśli dozorca nasz chce obejść wszystkie ulice, zaczynając z dowolnego punktu i kończąc na dowolnym, i jeśli długość każdej uliczki wynosi 100 m?

PRZYJĘCIE IMIENINOWE.

Synek gospodarzy zauważył, że kapelusze gości na imieninowem przyjęciu rozwieszone były przypadkowo w przeplatanej kolejności JCJCJCJCJC (gdzie J oznacza jasny, C zaś ciemny). Kapeluszy było dziesięć, a dwa ostatnie kołki wieszadła pozostały niezajęte i widok ten nasunął chłopcu pomysł, aby — biorąc każdorazowo w ręce po dwa sąsiednie kapelusze i przenosząc na niezajęte miejsca — rozwiesić je w kolejności najpierw pięciu jasnych obok siebie, a następnie pięciu ciemnych. Przystąpiwszy do zabawy, brał kapelusze w każdą rękę po jednym i wieszał je w tym samym porządku nie krzyżując rąk, ani nie przekładając i po pewnej ilości przenosin ułożył wszystkie tak, że dwa końcowe lewe kołki pozostały wolne, a po pięciu jasnych kapeluszach następowało pięć ciemnych. Jakie były kolejne zmiany?

HUMOR ZAGRANICZNY

KŁOPOTLIWY GOŚĆ.



John Bull do Negusa: Najjaśniejszy panie, radziłbym, aby się pan stąd wyniósł... po angielsku! („Rire").

BRAK NAJWAŻNIEJSZEGO!



Jenerał meksykański: Nie możemy rozpocząć rewolucji, pułkowniku! Jeszcze nie przybyła orkiestra! („Ric et Rac")



Na scenie

Rozpoczęły się upały, urlopy, teatry świecą pustkami, większość rozpoczęła ferje, zaledwie kilka scen gra jeszcze przeważnie t. zw. repertuar letni. Dochodzą do głosu komedje muzyczne, operetki, farsy.

Jedynie **Teatr Nowy w Poznaniu** na zakończenie sezonu dał jako premjerę granego już raz w Poznaniu **„Antychrysta“** K. H. Rostworowskiego, którego wystawiono starannie, głównie dlatego, że w obecnej sytuacji dramat ten ma znowu silne akcenty aktualne. — Sztuka Rostworowskiego jest wybitnie tendencyjną, a krytycy słusznie zaliczają ją do słabszych utworów znakomitego autora „Judasza“ i „Kaliguli“.



Świetna artystka Irena Eichlerówna występować będzie z Juljuszem Osterwą w Teatrze Narodowym w Warszawie.

Także **Teatr Kameralny w Częstochowie** dał obecnie poważniejszą premjerę, wystawiając komedję obyczajowo-współczesną Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej **„Powrót mamy“**. Główną rolę kobiecą gra gościnnie występująca Halina Gallowa, w innych rolach starannie grają: Tomaszewska, Stanisławska, Wańska, Kwaskowski i Malatyński.

W **Łodzi** czynne są obecnie dwa teatry letnie. Jeden z nich, a mianowicie **„Bagatela“**, wystawiła komedję muzyczną p. t. **„Pan minister i dessous“** z Tolą Mankiewiczówną, Sokołowską, Marją Dąbrowską i Sempolińskim w rolach głównych. Farsowe sytuacje, melodyjne piosenki, doskonała gra czołowych sił zespołu, zdobywają zasłużone sukcesy.

Czołowe sceny Warszawy przygotowują na pierwsze dni lipca premjery, które stanowić będą letni repertuar. **Teatr Narodowy** wystawi najnowszą komedję Molnara „Wielka miłość“ z Osterwą w roli głównej i w jego reżyserji, dwie zaś popisowe postacie kobiece odtwarzać będą Mieczysława Ćwiklińska i Irena Eichlerówna.

W **Teatrze Polskim** wystawioną zostanie nowa komedja Bus-Feketego **„Z miłości niedostatecznie“**, grana niedawno z dużem powodzeniem przez Teatr im. Słowackiego w Krakowie. W Warszawie obsadę czołowych ról stanowić będą: Piaskowska, Żabczyńska i Żeliska.

Teatr Letni przygotowuje komedję muzyczną **„Podwójna buchalterja“**, opracowaną przez Marjana Hemara, w reżyserji Warneckiego. Główną rolę odtwarzać będzie Adolf Dymsza. **(b)**

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

W latach 90-tych ub. stulecia głośną była wyprawa polska Stefana Rogozińskiego do Kamerunu, której celem były zarówno badania naukowe, jak i usiłowania skolonizowania Kamerunu polskiemi środkami dla przyszłego polskiego osadnictwa. Społeczeństwo nasze było jednak wówczas obojętne dla tej romantycznej i naukowej wyprawy, mimo, iż o pomoc finansową dla niej apelowali tak wpływowi pisarze, jak Sienkiewicz i Prus.

Obecnie nakładem Ligi Morskiej i Kolonjalnej ukazała się książka **Leopolda Janikowskiego „W dżunglach Afryki“**, będąca pamiętnikiem uczestnika i jedynego świadka ówczesnej wyprawy „trzech polskich Afrykańczyków“, jak ich wówczas nazywano. Autor opowiada koleje wyprawy Rogozińskiego i opisuje własne przygody i przeżycia wśród dzikich plemion murzyńskich, gdyż po rozłączeniu się z Rogozińskim, zamieszkał we francuskim Gabonie wśród ludożerczego plemienia Mpangue.

Bezpiecznie mieszkał między nimi przez trzy lata do r. 1889, a obecnie prosto, a mimo to żywo i barwnie, daje nam dokumenty mało znane, a ciekawe, dotyczące obyczajowości, wierzeń religijnych i zabobonów murzyńskich. Książkę zdobią liczne ilustracje.

Chińską duszę, życie chińskiej rodziny, oraz życie polityczne i społeczne dzisiejszych Chin, poznać możemy wcale dokładnie i dobrze z książki młodej pisarki amerykańskiej **Nory Walm**, której powieść p. t. **„Dom na wygnaniu“** ukazała się obecnie w polskim przekładzie (nakł. J. Przeworskiego). Rodzina autorki przez wiele lat utrzymywała zażyłe stosunki z jednym z rodów chińskich; poznała więc Nora Walm dokładnie labirynt duszy chińskiej i dzieje chińskiego narodu, a przedewszystkiem potrafiła epopeję rodziny chińskiej oddać szczerze w interesującej formie literackiej.

Głośnem wydarzeniem w świecie literackim jest najnowsza powieść **Jana Parandowskiego „Niebo w płomieniach“** (nakł. „Roju“), poświęcona zagadnieniu historji Boga w młodzieńczej duszy. Wybitnym walorem książki jest, tak rzadka w współczesnem naszem powieściopisarstwie, świetna topografja akcji, rozgrywającej się we Lwowie. **(b).**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Od dn. 5 lipca do dn. 11 lipca 1936.

Niedziela — 5 lipca.

8.00: Audycja poranna.
9.00: Nabożeństwo z Kościoła Św. Krzyża w Warszawie.
10.30: Dawna muzyka w nowej interpretacji.
12.03: Poranek muzyczny.
15.30: Koncert rozrywkowy.
16.30: Reportaż z życia.
17.00: Koncert solistów.
18.00: „Człowiek, który był czwartkiem“ — słuchowisko G. K. Chesterton.
18.30: „Podwieczorek przy mikrofonie“.
20.20 „Odwaga pani Setliffe — skecz.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30: Koncert w wykonaniu podwójnego Kwartetu Wokalnego „Pro Arte“.
22.20: „Małe dzieci niechaj słodko śpią“ — audycja muzyczna.
23.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek — 6 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert południowy w wykonaniu Zespołu Pawła Rynasa.
15.45: „Konkurs śpiewaków leśnych“ — opowiad. Janiny Gillowej dla dzieci.
16.00: Koncert popularny z Ciechocinka.
17.00: Recital skrzypcowy Grażyny Bacewiczówny.
17.30: Piosenki w wykonaniu zespołu „Te 4“.
17.50: „Urlop i polowanie“ — pogadanka.
19.00: Audycja żołnierska.
19.30: Lissie von Rosen odśpiewa piosenki hiszpańskie.
20.00: Legenda o „Sonacie księżycowej“ Beethovena — reportaż.
20.30: „Torpeda do Augustowa“ — feljeton.
21.00: Muzyka operetkowa i taneczna.

Wtorek — 7 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03. Koncert południowy.
16.00: Pieśni i piosenki (płyty).
16.45: „Hetman Żółkiewski w Moskwie“ — odczyt.
17.00: Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej z Parku Wilsona w Poznaniu.
17.50: „Lubczyk — prawda i legenda“ — pogadanka.
19.00: Koncert rozrywkowy ze Lwowa.
20.00: „Duch wojewody“ — opera komiczna w 3-ch aktach.
22.45: Muzyka taneczna.

Środa — 8 lipca.

6.30 Audycja poranna.
12.03: Muzyka lekka z Basenu w Ciechocinku.
15.45: Wesoła audycja dla dzieci.
16.15: Koncert w wykon. Reprezentacyjnej Orkiestry Dętej KPW.
17.00: Koncert kameralny.
17.50: „Anegdoty z życia Brata Alberta“.
19.00: „Przygoda w Grinzingu“ — operetka w 1 akcie.
20.00: Zespół Mario Harp Lorenzi koncertuje.
20.30: „Wędrówka mikrofonu po prowincji“: „Wzorowe osiedle dla bezrobotnych w Naramowicach“.
21.05: III audycja z cyklu „Utwory Chopina w wykonaniu słynnych artystów“.
21.35: Recital Ferdynanda Macalika (viola da gamba).
22.20: Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej.
23.00: Muzyka taneczna.

Czwartek — 9 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Orkiestra Salonowa Eugenjusza Raabego (z Poznania).
16.00: Koncert Filharmonji Warszawskiej z Ciechocinka.
16.45: Odczyt wojskowy.
17.00: Pieśni Griega w wykonaniu Kazimierza Kruszewskiego.
17.20: Piotr Czajkowski: Koncert skrzypcowy D-Dur, w wyk. Bronisława Hubermana.
17.50: „Znaczenie powietrza górskiego dla zdrowia“ — pogadanka.
19.00: Słuchowisko p. t. „Romans eskimoski“ w/g Marka Twaina.
19.30: Koncert polskiej Kapeli Lud. Feliksa Dzierżanowskiego.
20.15: Utwory Maxa Regera.
21.00: „Nasze pieśni — w wykonaniu Kamy Norskiej.
21.30: Melodje rewjowe i filmowe.
22.15: „Zaloty“ — audycja muzyczna.
23.00: Muzyka taneczna.

Piątek — 10 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Zapomniane utwory sławnych kompozytorów (płyty).
16.00: „Minjatury muzyczne“.
16.45: „Wewnętrzne prace P.O.W. w 1914—1915 r“ — odczyt wygł. Wacław Jędrzejewicz.
17.00: Recital śpiewaczy Stanisławy Korwin-Szymanowskiej.
17.20: Trio salonowe Polskiego Radja.
19.00: Koncert muzyki polskiej z Wawelu w Krakowie.
21.05: „Mozajka muzyczna“.
22.00: Muzyka taneczna.

Sobota — 11 lipca.

6.30: Audycja poranna.
12.03: Koncert poranny w wykonaniu Orkiestry 57 p. p.
14.30: Wesoły koncert.
16.00: Recital skrzypcowy Marji Marco.
16.30: Arje operowe w wykonaniu Mikołaja Warwy.
16.45: „Od latarni do latarni“ — reportaż z portu gdyńskiego.
17.00: Koncert z Parku Wilsona w Poznaniu.
17.50: „Łyk żubrówki“ — reportaż z puszczy białowieskiej.
19.00: Wieczór muzyki lekkiej.
20.15: Audycja dla Polaków zagranicą: „Obóz harcerski“.
21.00: Walce w literaturze fortepianowej.
21.30: „Napaść przy ulicy des Cendres“ — humoreska.
22.15: Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca.

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.